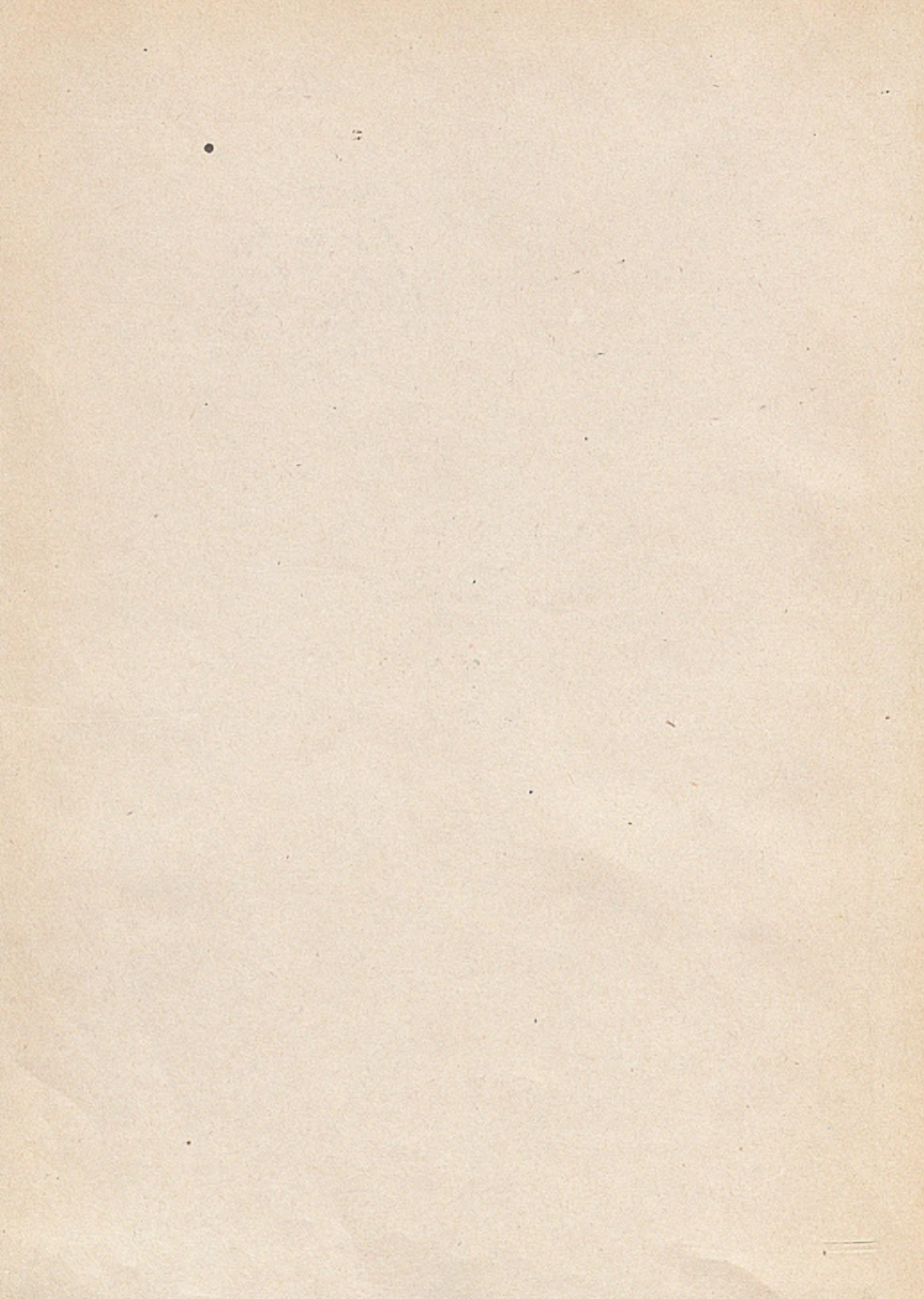


The book cover features a rich, gold-tooled border. The top and bottom sections of the border are filled with intricate floral and foliate designs, including roses and scrolling vines. The left and right sides of the border are dominated by large, detailed depictions of winged figures, possibly cherubs or angels, with their wings spread. The entire border is set against a dark, textured background.

PANTEON

WIELKICH TWORCOW
POEZJI I PROZY





~~N^o 290.~~



8(09)

P A N T E O N
WIELKICH TWÓRCÓW
POEZJI I PROZY

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH~~

~~Nr. 290~~

P A N T E O N
WIELKICH TWÓRCÓW
POEZJI I PROZY

ANTOLOGJA LITERATURY POWSZECHNEJ

TOM DRUGI

LITERATURY: HISZPAŃSKA, PORTUGAŁSKA, RUMUŃSKA, CELTYCKA, ANGIELSKA,
PÓLNO-CNO - AMERYKAŃSKA, AUSTRALIJSKA, NIEMIECKA, ISLANDZKA, NOR-
WESKA, SZWEDZKA, DUŃSKA, HOLENDERSKA I FLAMANDZKA, FINSKA,
ESTOŃSKA, ŁOTEWSKA, LITEWSKA, WĘGIERSKA, ROSYJSKA, UKRA-
IŃSKA, BIAŁORUSKA, CZESKA, SŁOWACKA, ŁUŻYCKA, JUGO-
SŁAWJI, BUŁGARSKA, BIZANTYŃSKA, NOWOGRECKA

POD REDAKCJA

DRA STANISŁAWA LAMA



NAKŁADEM KSIĘGARNI TRZASKI, EVERTA I MICHAŁSKIEGO

WARSZAWA, KRAK. PRZEDM. 13, GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO



821(082.2)

SN 19734

SPIS TREŚCI

TOMU DRUGIEGO

Str.

LITERATURA HISZPAŃSKA	
Wybór, układ i tłumaczenie Prof. Uniw. Lwowsk. Dra Edwarda Porębowicza	1
LITERATURA PORTUGALSKA	
Wybór, układ i tłumaczenie Prof. Uniw. Lwowsk. Dra Edwarda Porębowicza	59
LITERATURA RUMUŃSKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Dra Emila Biedrzyckiego	67
LITERATURY CELTYCKIE	
Wybór tekstów, układ i tłumaczenie Prof. Uniw. Warsz. Dra Stefana Czarnowskiego	95
LITERATURA ANGIELSKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Dra Tadeusza Grzebieniowskiego i Prof. Alfreda Toma	119
LITERATURA PÓLNOCCNO-AMERYKAŃSKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Dra Tadeusza Grzebieniowskiego i Prof. Alfreda Toma	246
LITERATURA ASUTRALIJSKA	
Wybór tekstów, układ i tłumaczenie Prof. Dra Tadeusza Grzebieniowskiego	284
LITERATURA NIEMIECKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	289
LITERATURA ISLANDZKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	445
LITERATURA NORWESKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	453
LITERATURA SZWEDZKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	472
LITERATURA DUŃSKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	490
LITERATURA HOLENDERSKA I FLAMANDZKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	507
LITERATURA FIŃSKA	
Wybór tekstów, układ i tłumaczenie Dr. Kazimiery Zawistowiczowej	534
LITERATURA ESTOŃSKA	
Wybór tekstów, układ i tłumaczenie Dr. Kazimiery Zawistowiczowej	546
LITERATURA ŁOTEWSKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	562
LITERATURA LITEWSKA	
Wybór tekstów i układ Ks. Wincentego Zajączkowskiego	580
LITERATURA WĘGIERSKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	593
LITERATURA ROSYJSKA	
Wybór tekstów i układ Sergjusza Kułakowskiego i Prof. Alfreda Toma	617
LITERATURA UKRAIŃSKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	713

LITERATURA BIAŁORUSKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	736
LITERATURA CZESKA	
Wybór tekstów i układ Dra Witolda Bunikiewicza.	747
LITERATURA SŁOWACKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	799
LITERATURA ŁUŻYCKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	805
LITERATURY JUGOSŁAWJI	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	809
LITERATURA BUŁGARSKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	839
LITERATURA BIZANTYŃSKA	
Wybór tekstów, układ i tłumaczenie Józefa Birkenmajera	850
LITERATURA NOWOGRECKA	
Wybór tekstów i układ Prof. Alfreda Toma	864
SKOROWIDZ do części I-szej i II-giej antologii	883

POCZĄTKI

POEMAT O CYDZIE

(XII w.)

...Więc Cydowi¹ rześiste z ócz polały się słozy,
 Kiedy spojrział na dwór swój taki dawniej wesoly.
 Ujrzał wrota rozbite, popękane zawory,
 A drażki, gdzie siadały niegdyś łowne sokoly,
 Bez kapturków, płaszczyków, puste pośród komory.
 Westchnął głęboko mój Cyd, w sedno serca trafiony,
 I ozwał się takimi miarkowanemi słowy:
 «Tak chciał Bóg, władający nad ziemskiemu padoly;
 Oto od wrogów moich tak jestem pohańbiony!
 Wyjeżdżający z Bivar mieli kruka z prawicy²,
 Gdy wjeżdżali do Burgos, po lewej im zakrzyczy».
 Opuścił głowę smutnie i wzdrygnął się ramiony.
 «Dobra wieść, Albarffanez, oto ja wywłaszczony».
 Wjeżdżał Cyd na rumaku przez te Burgijskie brony,
 Sześćdziesiąt chorągiewek z nim, taki poczet skromny.
 Od miezczan i miezczanek roily się balkony.
 I zapłakał oczyma wszystkim lud rozżalony,
 Każda grodu ulica słowami rozbrzmiewała:
 «Coby to był za witeż, lecz u lepszego pana!»
 Radziły go ugościć, lecz nie byli dość śmieli,
 Słyszając, że nań król Alfons od gniewu aż się pieni.
 Król do Burgos nadesłał listy jeszcze tej nocy,
 Warowane pieczęcią, wzbraniające pomocy
 Dawać Ruy Diazowi, ni jadła, ni gospody,
 Bo taki niech pamięta — głosił rozkaz surowy:
 Zabierze mu się mienie i wylupi się oczy;
 Zgubi ciało i duszę nadobitek niedoli.
 Wielki stąd powstał smutek pomiędzy chrześcijany,
 Lecz się z obawy króla przed Cydem umykali.
 Postąpił ku gospodzie, gdzie zazwyczaj stawali,
 Pozamykane zastał wszystkie dźwierze i bramy.
 Zaparli je od środka w obawie srogiej kary,
 Nikt nie wejdzie do środka, chyba wrota rozwali.
 Głośno krzyczą rycerze i gromkiemi wyrazy,
 A tamci z wnętrza milczą, ni z ust nie puszcza pary.
 Podjechał równie mój Cyd, podsunał się do dźwierzy,

¹ Czytaj: Syd.

² Rzymianie z podbojem przywieźli swoje wróżby z ptaków.

Zsiadł z jednego strzemięcia, w bramę stopą uderzył,
Ale się nie otwarła, zbyt dobrze ją zamknęli.

Dziewięcioletnie dziewczę uprzejmie doń zagada:
«Cydzie Campoamorze, błogosławiona szpada,
Przed wieczorem nadeszła do nas królewska charta,
Pieczęć królewska przy niej, w niej zagrożona kara,
Ktoby wam ulżyć pragnął w tej niedoli wygnania.
Grozi zabrać nam mienie i wydrzeć duszę z ciała,
Nie lża, Cydzie, nikomu wesprzeć was mimo chęci,
Niechaj Bóg cię wspomóż i wszyscy jego święci». —
Tak rzekło małe dziewczę i wróciło w podsienia.

Widzi Cyd, że u króla nie znalazł przebaczenia —
Pojeżdża Cyd do Burgos, po domach się rozziiera
Aż do kościoła Marji; zsunął się ze strzemięcia,
Kląkł na oba kolana i odmówił pacierza.
Poczem wyskoczył na koń, ostrogami go bodzie,
Opuścił bramy grodzkie, na żwirze w Arlingtonie
Każe rozbić namioty, wojsku rozkiewać konie.
Skoro mu nikt przytulku nie udzieli w tę nockę,
Jakby był w puszczy górskiej, wybiera twarde łożę,
Wszystko jego rycerstwo ułożyło się wpodłe.
— Zabroniono grodowi sprzedać chleba i wina,
I głodnemu rycerstwu wszelakiego mięsiwa.
— Marcin Antolinez, burgijczyk, dusza szczerą,
Cyda i jego wojsko rad nakarmić dosyła.
Nie kupił, zabrał z domu i chętnie im użycza.
Campeador je chętnie, bo już głód mu doskwiera.
Rzekł Marcin Antolinez to, co tu usłyszycie:
«Cydzie Campoamorze, w dobrej zrodzon godzinie,
W tej puszczy zanocuję, wyjedziemy o świcie.
Bylbym srodze karany, że ci tę folgę czynię.
Na gniew królewskibym się naraził niewątpliwie.
Może kiedyś u króla będę widziany mile,
A jeśli się nie stanie, dbam o to, jak o figę».
Rzekł mój Cyd, co w szczęśliwej chwili przypasał szpadę:
— «Marcinie Antolinez, mam w tobie dzielną lancę;
Jeśli jeszcze pożyję, podwójnie ci odplacę.
Wszystkie wydatki splacę, czyto w złocie, czy srebrze;
Dóbr dzisiaj nie posiadam, a kosztujemy wiele:
Mych wasali kompanja jest w podobnej potrzebie.
Z twoją pomocą każe przygotować dwie skrzynie.
Napelnimy je piaskiem, odważym należycie,
Pożłacanemi ćwiaki należycie zabite,
Na wiekach z kordowanu czerwonogo obicie.
Pośpieszysz się rozmówić z tym Rachelem i Vidą;
Król co bądź kupić wzbrania, ogłosił mię banitą,
A mnie się trudno wozić z jedną i drugą skrzynią.
Niechże, jak się umówim, na zastaw mi je przyjmą.
Mogą zabrać je w nocy, chrześcijan to nie udręczy,
Jeden Pan Bóg niech patrzy i wszyscy Jego święci,
Ze to, co chcę uczynić, to czynię mimo chęci».
Marcin Antolinez rąk próżno nie zakłada,
Rachel z Vidą, gdzie żyją, naokół pilnie bada,
Wraca żywo do miasta, na szczycie grodu stawa.
— Rachel z Vidą siedzieli w swoim kupieckim sklepie,
Obliczali pieniądze, dochody tegodienne;

Podszedł k'nim Antolinez i dostojnie, i śmieie:
 «Witam Rachel i Vidas, moi wy przyjaciele.
 Chcę sekretnie pomówić z wami o jednym dziele».
 — Nie mieszkając, natychmiast odeszli z nim na stronę.
 «Ty Rachel i ty Vidas, podajcie wasze dłonie,
 Niechaj nas nie posłyszają chrześcijanie ni maurowie.
 A ja was po kres życia od ubóstwa wyzwolę.
 Mój Cyd Campeador wziął w bitwach łupy spore,
 Zadne trybuty chowa w swoim obronnym dworze.
 Zachował, ile trzeba, na potrzeby codzienne.
 A przybywa do Burgos, bo z królem jest w rozterce,
 Dwie skrzynie znacznych skarbów z sobą w podróży wiezie,
 Same cenne naczynia kute w złocie i srebrze;
 Zostawił tam pałace i pradziadowską schedę.
 Tu wnetby przewąchano, dokąd wywiózł i wiele;
 W rękach waszych zostawi te oto cenne skrzynie,
 W procencie policzycie od sta tyle a tyle.
 Wielką waszą przysięgą przyrzeczecie jedyne,
 Że nie złamiecie zamków, dopóki rok nie minie».
 — Poszeptali ze sobą na zgodę i tak rzekli:
 «Nie będziemy ukrywać, że coś zarobić chcemy.
 Mój Cyd ogromne łupy wziął w maurytańskiej ziemi.
 Słuszna, że chce zostawić, trudno się wozić z niemi.
 Ten, co skarbu pilnuje, źle sypia na pościeli,
 Więc pod naszą opiekę te skrzynie bierzem obie.
 Tak je dobrze ukryjem, nikt się o nich nie dowie.
 A wiele za wygodę do rocznego przydziału?»
 — Na to Antolinez odparł w takim sposobie:
 «Mój Cyd podejmie tyle, ile będzie w umowie,
 A zażąda niedużo, chce mieć skarb w dobrym schronie.
 Nachodzą go ustawnie różni ludzie w niedoli,
 600 marek złożycie, i tem się zadowolili.
 Rzekli Rachel i Vidas: «Może wziąć każdej pory».
 «Noc zapada, widzicie Cyd chce jechać czem skorzej.
 Dajcież te 600 marek w myśl tej naszej umowy».
 Na to Rachel i Vidas: «Tak się spraw nie zalaćwia.
 Naprzód bierze się zastaw, potem gotówkę dawa».
 Rzekł Martin Antolinez: «Słuszna jest modła taka,
 Zadowolicie zatem Cyda, mojego pana.
 My dopomożem nocą znieść skrzynie, jak wypada,
 By nie widziały oczy ni maura, ni chrześcijana».
 Rzekli Rachel i Vidas: «Wszystko jest tak, jak życzym,
 Dostawcież nam te skrzynie, 600 marek zaliczym».

(*Poema del Cid*, ed. R. Menendez Pidal, Madrid 1900, w. 1—147.)

PIERWSZA KRONIKA POWSZECHNA ZW. ALFONSA MĄDREGO (XIII w.)

Cap. 736. Jak Roy Blasquez, syn Alfonsa de Lara, uderzył swego kuzyna Gonęala Gonęaleza, a on jego, i jak Garcia Fernandez ich pogodził.

W 23-cim roku panowania króla Don Ramira, t. j. 997 r., zdarzyło się, że wysoki magnat, syn Alfonsa de Lara, nazwiskiem Roy Blasquez, żenił się z damą wysokiego rodu z Burweny, starszą siostrą hr. Garci Fernandezza, nazwiskiem doña Lambra. A ów Roy Blasquez był panem Bilvestry, miał siostrę bardzo zącą, wyposażoną we wszystkie dobra i obyczaje, nazwiskiem doña Sanca, żonę Gonzala Gustioza, pochodzącego z Sa-

las; a mieli 7-miu synów, zwanych 7-oma infantami z Salas. A wychowywał ich wszystkich dzielny szlachcic, nazwiskiem Muño Salido, i wyćwiczył we wszystkich zacynych sztukach, tak że zostali wszyscy w jednym dniu pasowani na rycerzy; a zbroje dał im Garcí Fernandez. Ów Roy Blasquez na wesele swoje z doñą Lambra, wyprawione w mieście Burgos, sprosił przyjaciół z krajów okolicznych: Galicji, Leonu, Portugalu Estremadury, Gaskonji, Aragonu, Nawarry, a nadto wszystkich z Burweny i Kastylji, a przybyło jeszcze wiele ludu. Był na tem weselu Don Gonçalo Gustioz z żoną swą doñą Sanczą, 7-ma synami i Munozem Salidą, ich wychowawcą. Wesele trwało 5 tygodni wśród licznych zabaw; były też gonitwy do tarczy i do pierścienia i walki byków, i gry w table¹, i szachy, i igraszki zonglerów. A wydali na to wesele hr. Garcí Fernandezowi wszyscy inni panowie wielkie sumy i wielkie podarunki. A na tydzień przed końcem wesela kazał Roy Blasquez wystawić tarczę bardzo wysoko, obok kościoła nad rzeką, i zapowiedział, że temu, co rzuci tarczę, złoży bogaty dar. Wszyscy szanujący się rycerze zbiegli się, ale mimo wysiłków nie mogli dosięgnąć i uderzyć w tarczę. Kiedy to zobaczył Alvar Sanchez, najstarszy brat doñi Lambry, podjechał koniem i dosięgnął tarczy, i uderzył w tarczę tak silnie, że usłyszano aż w mieście, jak powiada historja. Kiedy doña Lambra usłyszała i dowiedziała się, że to Alvar dokonał tego rzutu, ucieszyła się wielce i z wielkiej uciechy odezwała się wobec doñi Sanczy, swej kuzynki, i wobec 7-miu jej synów, siedzących obok niej: — «Widzicie teraz, przyjaciele, jaki dzielny rycerz ten Alvar Sanchez, bo wśród wszystkich, jacy tu są, żaden nie zdołał dorzucić do szczytu tarczy, tylko on jeden; sam jeden wart jest więcej, niż wszyscy razem». Kiedy to usłyszała doña Sancza i jej synowie, zaczęli się śmiać; ale rycerze, ile że byli bardzo biegli w rozpoczętej zabawie, nie zwracali uwagi na słowa doñi Lambry, z wyjątkiem Gonçala Gonçaleza, najmłodszego z 7-miu braci. I wymknął się im, wsiałdł na konia i wziął oszczep w rękę, a nie było z nim nikogo, prócz pazia, który trzymał jego sokoła. A Gonçalo, skoro podjechał, kazał podnieść tarczę i uderzył tak mocno, że roztrzaskał tarczę środkową. Skoro to obaczyli doña Sancza i jej synowie, wielce się ucieszyli, ale nie doña Lambra. Synowie doñi Sanczy wsiedli zaraz na koń i podjechali ku bratu w obawie, że wyniknie tam jakaś kłótnia, co się też stało, bo Alvar Sanchez zaczął wykrzykiwać obelżywemi słowy, a odpowiedział mu Gonçalo Gonçalez, mówiąc: — «Taki jesteś biegły i tak podobasz się kobietom, że jak widno, o żadnym z nas nie gadają tyle, co o tobie». — Na co Alvar Sanchez: — «Jeżeli kobiety mówią o mnie, to słuszna, bo rozumieją, że jestem więcej wart od reszty». Kiedy to usłyszał Gonçalo, zabolowało go tak mocno, że nie mógł przenieść, i przypadł ku niemu gwałtownie i uderzył go pięścią w twarz, że mu rozbił zęby i szczękę, tak że natychmiast spadł z konia martwy. Doña Lambra, kiedy o tem usłyszała, poczęła krzyczeć głośno i płakać, powiadając, że nigdy żadna niewiasta na swem weselu nie została zhańbiona, jak ona. Roy Blasquez, gdy się o tem dowiedział, popędził czem prędzej z oszczepem w rękę; a kiedy dojechał do 7-miu infantów, podniósł ramię i ugodził Gonçala Gonçaleza tak mocno w głowę, że aż mu z pięciu ran krew popłynęła. Gonçalo, kiedy spostrzegł, jak jest ranny, rzekł: «Na miły Bóg, wuju, nie zasłużyłem od ciebie na taki cios i proszę tu moich, że jeżeli przypadkiem z tego umrę, niech za to na tobie nie poszukują odpłaty; ale nie uderzaj drugi raz, bo tegobym nie ścierpiab». Roy Blasquez, kiedy to usłyszał, z wielkiego gniewu podniósł oszczep jeszcze raz, aby go uderzyć, ale Gonçalo uchylił głowy, tak że dotknął go jeno nieco w ramię, mimo to uderzenie było tak silne, że oszczep odlupał się aż w dwu miejscach. Gonçalo, obaczwszy, że nie było innej miary ni sposobu, porwał sokoła, co go trzymał pachotek, uderzył nim, a razem pięścią w głowę Roya Blasqueza i tak nią wstrząsnął, że aż krew popłynęła nozdrzami. Tedy Roy Blasquez, widząc się tak pogruchotanym, począł wołać: — «Do broni, do broni!» Zaczem zbiegło się wszystko jego rycerstwo...

— Garcí Fernandez, pan Burgos, oraz ojciec infantów, Gonçalo Gustioz, godzą obie strony, ale doña Lambra gotuje nowy akt zemsty, na który infanci odpowiadają nowem zabójstwem. Roy Blasquez podstępem wydaje starego Gonçala Almançorowi, maurtańskiemu królowi Kordoby, który zamyka go w więzieniu.

¹ Tric-trac.

Tam oddał go w opiekę maurytańskiej szlachciance. Ma z nią syna, nazwanego później Mudarra Gonçalez, który, dorósłszy, pomści kiedyś śmierć ojca i braci. Tymczasem za nowem poduszczeniem Roya Blasqueza rozpoczęła się wojna z Maurami...

Cap. 742. Jak polegli infanci wraz z 200 rycerzami, co przybyli im pomagać.

Infanci, znajdując się w tych uciskach, posłali do Roya Blasqueza z zapytaniem, czy zechce im przyjść z odsieczą. Zatem Diego Gonçalez rzekł: «Don Rodryku (Blasquezie), czy będziesz w możności pomóc nam przeciw Maurom, przeciw którym straciliśmy już Fernanda Gonçaleza i Muña Salidę z 200 rycerstwa». — Na co odparł don Rodrigo: «Przyjacielu, odejdz szczęśliwie. Jakże chcesz, aby już była zapomniana hańba, jakiej dopuściliście się w Burgos, zabijając Alvara Sancheza, oraz jaką uczyniliście żonie mej doñi Lambri, kiedy zabiliście człowieka w fałdach jej płaszcza i zakrwawiliście jej szaty... Jesteście dzielnymi wojownikami, myślcie, jak się bronić i obronić, a na mnie nie liczcie, bo nie znajducie u mnie pomocy nijakiej. Diego Gonçalez, usłyszawszy to, wrócił do infantów i oznajmił słowa ich wuja. Kiedy tak byli strapieni, że znaleźli się tak bardzo sami i bez opieki, Bóg natchnął niektórych chrześcijan, stojących z Royem Blasquezem, że postanowili im przyjść z pomocą. I oddzieliło się od niego około 1000 rycerstwa. A kiedy już odjeżdżali, oznajmili o tem Royowi Blasquezowi. Wtedy on zawrócił ich, powiadając: «Przyjaciele, pozostawcie moich kuzynów i pozwólcie, niech pokażą, co umieją; jeżeli będzie potrzeba, pośpieszę im z pomocą». Tedy oni zawrócili, lecz niechętnie, jak powiada historia, wiedzieli bowiem, że gotuje się zdrada. Ale skoro tylko owo rycerstwo wróciło do domów, wyszli chłopcy, którzy odznaczyli się już we władaniu orężem, po trzech i po czterech, i usprawiedliwiają się przed don Rodrigiem, i zebrano się 300 na jednym miejscu, i zaprzysięgli, że za zdrajcę uważać będą takiego, którym nie pośpieszy z pomocą 7-miu infantom, na śmierć i życie; a gdyby przypadkiem Roy Blasquez chciał ich zawrócić, jak przedtem, to nie mieszkający zabijają go. Co postanowiwszy, pognali natychmiast. Infanci, widząc ich nadjeżdżających, przypuszczali, że to Roy Blasquez najjeżdża, aby ich pozabijać. Ale rycerze poczęli wołać: «Infanci, nie lękajcie się, gdyż z pomocą wam śpieszymy, z wami chcemy żyć i umrzeć; widzimy bowiem, że wasz wuj bardzo sobie smakuje w waszej śmierci». A skoro już przybliżyli się, dodali: «Jeżeli stąd wyjdziemy żywi, chcemy mieć zapewnienie, że nas będziecie przed nim bronili». Infanci przyrzekli i zaprzysięgli taką przysięgą, że tamci się zadowolili. Gdy więc to uczynili i zawarli taki układ, i zaprzysięgli, uderzyli razem na Maurów i rozpoczęli bitwę tak gwałtowną i zaciętą, że nigdy zaćny rycerz nie podejrzywałby, że chrześcijan było tak mało. A taka była po stronie Maurów śmiertelność, że zanim jeden z chrześcijan poległ, tamtych padało po dwa tysiące. A kiedy wszyscy tak walczyli wkoło, Maurów napłynęło tyle, że pozabijali owych 300-tu rycerzy, co przybyli z pomocą. Infanci zaś tak byli umęczeni walką, że nie mogli już podnosić ramion, aby godzić mieczami w nieprzyjaciela. Viara i Galbe¹, gdy ich ujrzeli tak pomęczonych i samotnych, poczuli żal, dobyli ich z ciżby, kazali zanieść do swoich namiotów, zdjąć z nich zbroję, nakarmić i napoić chlebem i winem...

Z obawy przed swym suzerenem są zmuszeni odstąpić, bitwa zaczyna się na nowo; infanci mają zbroję pokruszoną, konie pozabijane; Maurowie ścinają im głowy, jedną po drugiej. Ostatnim jest najmłodszy i najdzielniejszy, Gonçalo Gonçalez. Poczem Maurowie zabierają ucięte głowy i jadą z niemi do Korduby.

Cap. 743. Jak Gonçalo Gustioz został wypuszczony z więzienia i udał się do swej dziedziny Salas w Kastylii.

Skoro Viara i Galbe przybyli do Korduby, udali się natychmiast do Almançora i okazali mu głowy 7-miu infantów oraz ich ochmistrza Muña Salida. Almançor, kiedy je obaczył i gdy mu opowiedziano, jak się zdarzyło, wyraził żal, że ich tak pozabijano wszystkich, kazał obmyć doczysta w winie, rozłożyć biały obrus w pośrodku pałacu i ułożyć w porządku według wieku, a głowę Muña Salida na czele. Stamtąd udał się do więzienia, gdzie był zamknięty ojciec ich, Gonçalo Gustioz, a wszedłszy,

¹ Wasale Roya Blasqueza.

zapytał: «Gonçalo Gustioz, jak się miewasz?» Ten odpowiedział: «Tak dobrze, jak Wasza Miłość sobie życzy; cieszę się, widząc cię, bo spodziewam się od dziś dnia łaski, bo to jest obyczaj wszystkich wielkich i szlachetnych, że uwalniają jeńca od dnia, kiedy go obaczą». — Almançor na to: — «Gonçalo, uczynię, jak powiadasz, gdyż poto tu przyszedłem, ale powiem ci przedtem: — Wysłałem był wojsko moje do ziemi kastylskiej, i stoczyło bitwę z chrześcijanami na polu Almenar, i przyniesiono mi stamtąd 8 głów znakomych rycerzy: 7 młodzieńczych i jedną starca; chcę, abys je wydobyl i obejrzał, czy je rozpoznasz, gdyż powiadają moi oficerowie, że pochodzą z Lary». Rzekł Gonçalo: «Jeśli ich obaczę, powiem, kto są i skąd, gdyż niema rycerza w całej Kastylji, którego bym nie znał». — Tedy Almançor kazał wypuścić jeńca i udał się z nim do pałacu, gdzie leżały głowy. A kiedy je Gonçalo Gustioz obaczył i poznał, ścisnął go tak wielki żal, że zaraz padł na ziemię jak nieżywy; a kiedy się ocknął, począł płakać nad niemi tak strasznie, że aż dziw. Poczem odezwał się do Almançora: «Te głowy ja znam; to są głowy moich synów, 7-miu infantów z Salas, i głowa Muña Salida, ich ochmistrza». Rzekłszy to, zaczął wywodzić żal tak ogromny, że nie zdołałby się wstrzymać od łez, ktoby na to patrzył. I brał głowy jedna po drugiej, i opisywał je, i opowiadał dzielne czyny rycerskie każdego... Ogarnięty był takim bólem, że porwał szpadę, jaką obaczył w komnacie, i w oczach Almançora zabił nią 7-miu strażników. Tedy inni obezwładnili go i nie pozwolili czynić dalszej szkody. On zaś prosił Almançora, aby kazał go zabić. Lecz ten, z wielkiego współczucia, nie pozwolił mu czynić krzywdy. Kiedy Gonçalo trwał w takim stanie, żaląc się i lży lejąc, podeszła doń Maurytanka, która, jak się rzekło, była u niego na posługach, i tak przemówiła: — «Skrzepcie się w sobie, don Gonçalo, i przestańcie płakać, boć i ja miałam 12-tu synów, wszystko dzielnych rycerzy, i los zechciał, że wszyscy oni poległi jednego dnia w bitwie, mimo to nie przestałam szukać pociechy. A skoro ja, niewiasta, przemożłam się i ani nie zabiłam się, ani pozwoliłam zabić, ileż bardziej ty, mężczyzna. Bo, płacząc nad synami, nie wrócisz ich do życia, więc nacóż samemu martwić się śmiertelnie?» Także Almançor rzekł do niego: «Gonçalo Gustioz, współczuję niezmiernie bólowi i nieszczęściu, jakie cię dotknęło; sądzę, że należy uwolnić cię z więzienia, w którym pozostajesz, ułatwić ci powrót, zezwolić, abys zabrał z sobą głowy synów i udał się do swej żony, doñi Sanchy». Na co Gonçalo Gustioz: «Almançorze, niech Bóg nagrodi ci łaskę, jaką mi czynisz, i słowa, jakimi do mnie przemawiasz. Bodajby nadszedł czas, abym mógł ci godnie się odwdzięczyć». — Zaś owa służebna Maurytanka zbliżyła się też i, odsunawszy się z nim, rzekła: «Don Gonçalo, za twym powodem znajduję się w odmiennym stanie; rozkazuje, co mam uczynić». Na co on: — «Jeżeli będzie chłopiec, dasz mu dwie piastunki, aby go starannie wychowały, a potem, skoro dojdzie takiego wieku, że będzie mógł pojmovać dobro i zło, odkryjesz mu, że jest moim synem i przyślesz mi go do Kastylji do Salas». Co powiedziawszy, zdjął obrączkę złotą, jaką nosił na palcu, przepołowił ją i dał jej połowę, mówiąc: «Zatrzymasz ją u siebie, jako znak, a kiedy chłopiec dorośnie i będzie miał przybyć do mnie, wręczysz mu ją i przykażesz, aby nie zgubił, a kiedy ją obaczę, natychmiast poznam go po niej». Don Gonçalo, skoro to wszystko ułożył i przyjął od Almançora, co było potrzebne do podróży, pożegnał go i wszystkich panów maurytańskich i odjechał do Kastylji do swej dziedziny w Salas. W niedługi czas potem owa Maurytanka urodziła syna. Wykryła też Almançorowi to, co się stało i że dziecko było synem Gonçala Gustioza. Almançor uradował się wielce: wziął dziecko do siebie, kazał je chować dwom piastunkom według polecenia ojca i dał mu imię Mudarra Gonçalez¹.

(Primera Cronica General que mando componer Alfonso el Sabio, p. p. Ramon Menendez Pidal, cap. 733—743, Nueva Bibl. de Autores esp., t. 1, Madrid 1906.)

¹ Ów Mudarra, gdy dorośnie, pomści śmierć swych braci przyrodnych. Cała tragiczna opowieść, jedna wśród najpiękniejszych legend historycznych starej Hiszpanji, zawiera tyle rysów pozakronikarskich, że Gaston Paris dopatrywał w niej śladów dawnej zaginionej epeji, starszej może od «Cyda».

JUAN MANUEL

(1282—1349)

HRARIA LUCANOR

Przykład XLII. Co się przydarzyło fałszywej świętoszce
(Gdzie djabeł nie może...)

Innym razem hrabia Lucanor rozmawiał ze swym doradcą Petroniem, jak następuje:

— Petronjuszu, jak wielu innych pytaliśmy się, w jaki sposób człowiek zły może drugiemu wyrządzić największą szkodę. Jedni powiadali, że buntem, inni — że pieniactwem, inni — że rozbojem, inni jeszcze, że złym językiem i obmową. A że jesteś tak rozumny, pytam cię się, kto z nich jest najszkodliwszy.

— Hrabio — rzekł Petronio — abys sam ocenil, posłuchaj, co się zdarzyło djabłu z pewną fałszywą świętoszką.

Hrabia zapytał, jak to było.

— W pewnej wsi mieszkał zacy młody wieśniak z młodą żoną; żyli zgodnie, i nigdy między nimi nie doszło do zwady. A że djabeł nie lubi dobrego, wielce się tem trapił i, mimo że rozmyślał długo, jak ich pokłócić, nie zdołał dopiąć celu.

Aż pewnego dnia, wracając ze wsi, gdzie żyło owych dwoje, smutny wielce, natpkał świętoszkę. Skoro się poznamomili, zapytała go o powód smutku. Odpowiedział, że wraca ze wsi, gdzie żyją owi dwoje, i że oddawna darennie stara się ich pokłócić, a jeżeli jego zwierzchnik o tem się dowie, on będzie zgubiony; to jest powód jego troski. — A ona na to, że dziwi się, iż taki mądry, jak on, nie może dać sobie rady; ale jeżeli uczyni zadość jej życzeniu, ona prędko to załatwi. Na to djabeł, że spełni jej życzenie, jeżeli w istocie będzie umiała pokłócić tych dwoje ludzi.

Skoro więc djabeł i dewotka przyszli do porozumienia, ona chodziła po wsi i czyiniła to tak długo, aż weszła w znajomość młodej niewiasty, powiadając, że była wychowanicą jej matki i przeto gotowa być na jej usługi, o ile zdoła.

Dobra, ufna kobieta przyjęła ją do domu i zwierzała się jej ze wszystkiego, to samo też czynił jej mąż.

Skoro zatem czas długi przebywała u nich w domu i stała się powiernicą obojga, wróciła raz do domu smutna i rzekła do kobiety, która jej ufała:

— Córko, wielce mię smuci to, com właśnie słyszała, to jest, że mąż twój podobna sobie więcej w innej, niż w tobie; proszę cię, abys pochlebiała mu i pieściła go, aby w tobie znajdował większe upodobanie; inaczej może stąd wypaść dla ciebie więcej zlego niż skądinąd.

Kiedy dobra kobieta to usłyszała, jakkolwiek nie wierzyła, jednak strapila się mocno. A kiedy przewrotna świętoszka obaczyła ją tak zafrasowaną, wyszła na drogę, którą mąż zwykł był powracać; a gdy się z nim zesła, opowiedziała, że martwi ją, iż ma tak dobrą żonę, a kocha inną, a ona się już o tem dowiedziała i powiada, że sobie wybierze innego, którego będzie kochała bardziej niż jego, ale na Boga, niech się o tem nie dowie, gdyż ją mogłoby to kosztować życie.

A mąż, kiedy to usłyszał, to jakkolwiek nie wierzył, jednak dojęło mu to srodze. A gdy go fałszywa świętoszka zostawiła w tym stanie, poszła zaraz do żony i powiedziała, udając wielkie strapienie:

— Córko, nie wiem, skąd to nieszczęście, że twój mąż zupełnie przestał cię kochać, abys zaś zrozumiała, że tak jest w istocie, przypatrz się, że wraca smutny i zasępiony, czego dawniej nie bywało.

Zostawiwszy ją w tym niepokoju, wróciła do męża i powiedziała mu to samo. A skoro przyszedł do domu i zastał żonę zasmuconą i nieskorą do dawnych pieścót, rozżalił się ogromnie.

A kiedy znowu oddalił się, zła świętoszka szepnęła jej, że gdyby zechciała, to znajdzie kogoś biegłego w sztuce, który sprawi, że jej mąż odzyska dawne swe dla niej uczucie. A ona, pragnąc żyć z mężem po dawnemu, zgodziła się, pełna wdzięczności.

Więc po kilku dniach znów powróciła i powiedziała, że znalazła kogoś mądrego, który ją pouczył, że gdyby dostał do rąk nieco włosów z jego brody pod szyją, to potrafiłby sztuką swą sprawić, że nawróciłby się do niej i żyłiby znowu dawnym życiem, a nawet lepszem. Niechaj tylko z tem zaczeka, aż mąż zaśnie. I dała jej nóż, aby nim obcięła mu włosy.

A dobra kobieta z wielkiej miłości ku mężowi, przykrząc sobie dziwny stosunek, jaki między nimi zapanował, i pragnąc bądź co bądź wrócić do dawnej zgody, przystała na to, co jej kazano.

Tedy niegodziwa świętoszka wróciła do męża i powiedziała, że wielce bolalaby ją jego śmierć; bo oto wie, że żona chce go zabić i uciec z kochankiem, a na dowód, że mówi prawdę, odkryje mu, iż umówili się, że skoro tylko zaśnie na jej łonie, ona zarznie go przygotowanym nożem.

Skoro mąż to usłyszał, przeraził się wielce, a że już przedtem był źle uprzedzony, wskutek fałszywych podszeptów świętoszki, postanowił mieć się na baczności i wypróbować żonę, poczem skierował swe kroki do domu.

Żona, skoro tylko go obaczyła, przyjęła go czulej niż zazwyczaj, robiąc mu wymówki, że ciągle tylko pracuje bez wypoczynku, ale oto teraz niech legnie przy niej i złoży głowę na jej łonie. A skoro mąż to usłyszał, upewnił się, że było prawdą, co mówiła świętoszka, chcąc zaś wypróbować żonę, położył się, przytulił do niej i udał, że zasypia. A skoro żona mniemała, że zasnął na dobre, wyjęła nóż, aby mu wyciąć włosy z brody. Kiedy mąż obaczył nóż w jej ręku, blisko swego gardła, pewny, że było prawdą oskarżenie niegodziwej świętoszki, wyrwał nóż i zabił nim żonę.

Na krzyk, jaki powstał, wbiegli ojciec i bracia zabitej. Skoro ją obaczyli martwą i gdy przypomnieli, że ani od męża, ani od nikogo innego nie słyszeli o niej nic złego, wpadli na męża i zabili go.

A na wrzawę, jaka się wszczęła, przybiegli krewni męża i pozabijali jego zabójców. Klótnia skończyła się tem, że tego dnia pozabijano się większość mieszkańców wioski.

A to wszystko zdarzyło się skutkiem złego języka fałszywej świętoszki. Ale że Bóg nie chce, aby złoczyńca uchodził bezkarnie, ani też, aby zbrodnia nie została wykryta, wnet dowiedziano się, że wszystkiemu była winna owa przewrotna świętoszka, więc osądzono ją i skazano na śmierć najokrutniejszą.

—A wy, hrabio Lucanorze, skoro pragniecie wiedzieć, kto jest człkiem najgorszym w świecie i sprawcą najgorszego złego, wiedźcie, że jest nim taki, który udaje dobrego chrześcijanina, dobrego człowieka i prawego, a zamiary jego są niegodziwe, i który sieje fałszywe i kłamstwa na złe swoich bliźnich.

(*El Conde Lucanor, Madrid, ed. Saturnino Calleja 1920.*)

JUAN RUIZ

(1283?—1350)

KSIEGA UCZCIWEJ MIŁOŚCI I. 25 (W STROFIE t. z. CUADERNA VIA)

W onych to dawnych czasach Rzymianie praw nie znali:

Ślą po ich zbiór do Greków, co je dawno spisali.

Grecy przyjęli postów, za zaszczyt dziękowali,

W tej materji, tak mówią, jesteście jeszcze mali.

Lecz skoro ich pomocy żądają tak koniecznie,

Niech wprzódy swoich mędrców zbadają dostatecznie,

Czy przypadkiem nie myślą czegoś z kodeksem sprzecznie.

Tak się uchylić pragną i dowcipnie, i grzecznie.

Wielkie sobie honory świadczyli na wysięgi:

Naznaczyli terminy, wymienili oblīgi,

Lecz nie znali języków: — Nanie wszelkie fatygi!

Wkońcu postanowiono dysputować na mīgi.

Ogłosili dzień zjazdu po okolicznej włości:
Rzymianie szli niemrawo; byli pełni żałości,
Nie wiedzieli, co czynić — ludzie ciemni i prości,
Ani się im umywać do greckiej uczoneści.

Pytali się o radę jednego mieszczanina:
Radził z gawiedzi miejskiej wybrać takiego syna,
Jak mu Pan Bóg dał palce, niech tak łapą wycina.
Doskonały był pomysł; zgodziła się drużyna.

Wyszukali jednego między najtęższe chamy;
Powiadają: «Słuchaj no, z Grekami wojnę mamy,
Będziesz bić się na migi; ile zechcesz, to damy;
Dobrze użyj twej sztuki, a tuszym, że wygramy».

Ubrali go wspaniale w złotogłów i bisiory,
Tak, jak się ubierają filozofji doktory,
Więc zarzycał z katedry, a głos miał wcale spory:
Niechże stawiają się Grecy, zacznijmy rozhowory.

Wystąpił jeden doktor ponad miarę uczoney,
Pośród wielu wybrany, od wszystkich uwielbiony.
U stóp jego katedry stał tłum z obojej strony:
I zaczęli dysputę na sposób umówiony.

Dźwignął się Grek poważnie, jak człek, co słowa szuka,
I podniósł jeden palec, ten, co jest w podległości,
Potem siadł; wstaje rywal, parska gniewnie i fuka,
Jakby wzywał do bitki: patrzcież, zawzięta sztuka.

Zwraca k'niemu trzy palce, a lice miał złowrogie:
Kciuk oraz dwa sąsiednie wprost w oczy, jak ostrogę.
Tem trojgiem srogich szponów wielką w nim wzbudził trwogę,
Zaczem usiadł, jak głupi, i spojrzzał na swą togę.

Powstał Greczyn ze stołka, dłoń ukazał mu gładką,
I zaraz siadł napowrót, jak człowiek pełen statku;
Porwał się tamten wściekły i złośliwy w dodatku,
Pięść złożył, jakby mówił: «Patrzaj, przegrałeś, bratku!»

Tedy do swoich Greków odezwał się ów Greczyn:
«Rzymianie wzięli pole, wygrali, nie zaprzeczym».
Uczcili go krajanie swoim rzymskim narzeczem;
Oto wygrał batalję palcami, a nie mieczem.

Pytali się Greczyna, co mówił z rzymskim ciurą
I co on odpowiadał taką wściekłą posturą.
«Jam rzekł, że Bóg jest jeden, a on był przecie górą,
Bo odparł: w trzech osobach i wskazał pod figurą.

Rzekłem: Wszystko poddane jest Jego woli świętej.
Odrzekł na to: moc Jego władza nad firmamenty.
Widzę, że w tym dogmacie Trójcy jest taki cięty
Oraz, że na praw wykład zna wszystkie argumenty».

Pytali: «Jakiż dowód miał on przeciwko tobie?»
— «Powiadał jednym palcem, że oko mi wydziobie;
Wściekłość mię ogarnęła przeciw temu chudobie;
Dlatego go odparłem w tak gwałtownym sposobie.

A do swoich dowodów ten dołączył komentarz:
 Że mi wykole ślepie, a z gęby robi cmentarz;
 I dał mi do poznania: Już ty mię popamiętasz,
 Żaden ci twej mądrości nie pomoże wykrętas.

Rzekłem: Ja ci tę gębę rozbiję tak niepięknie,
 Że od dnia dzisiejszego na wieki ci obrzęknie.
 Więc skoro to zrozumiał, że się go nikt nie zleknie,
 Zmiękł w swojej wielkiej pysze i ciągle jeszcze mięknie».

*(Juan Ruiz, Archipreste de Hita, Libro de buen amor,
 Madrid, Lectura, Classicos castellanos 1913, w. 47—64.)*

JORGE (JERZY) MANRIQUE

(XV w.)

STROFY NA ŚMIERĆ OJCA

Przypomnij, duszo uśpiona,
 Niech się twoja myśl poczuje,
 Rozważając,
 Jak to życie zwolna kona,
 Śmierć niechybnie następuje,
 Tak się czając.
 Rozkosz potrwa i ucieka,
 Z rozkoszy się w każdym czasie
 Boleść pleni;
 Nieudolny sąd człowieka
 Dzień miniony w złudnej krasie
 Lepszym mieni.
 Kiedy widzimy, jak się trwanie
 Ludzkiego bytu kropelką
 Rozpyliło,
 To z namysłem, patrząc na nie,
 Uznać musisz przeszłość wszelką
 Za niebyłą.

Niech się przeto myśl nie ludzi,
 Że mu szczęście nie uciecze,
 Bo nadzieje
 Uciechy wnet czas ostudzi,
 A także to są człowiecze
 Zwykłe dzieje.

Życie ludzkie — to jest rzeka,
 Co się wlewa w wielkie morze:
 Jest niem śmierć.
 Wszystek świat w swój nurt zawleka,
 W niej królowie i wielmoże
 Tracą szerć.
 Tam się toczy rzeka główna,
 Do niej wpada mniejsza druga,
 Strug obrzedni;
 Dołem wszystko się wyrówna:
 Ten od śpichrza, ten od pluga,
 Możni, biedni.

*(Jorge Manrique, Cancionero, ed. Cortina, La Lectura,
 Madrid 1929 r.)*

FERNANDO DE ROJAS

(XV w.)

CELESTYNA (CALISTO I MELIBEA)

Akt IX

Celestyna opowiada dzieje swej wielkości i upadku:

Widno, że nie znalazicie mię w czasach mej świetności, lat temu będzie 20. Ach, kto mię widział wtedy, a ogląda dzisiaj, dziw, że mu serce nie pęka z bólu. Oglądałam, kochanie, przy tym samym stole, gdzie obecnie siadają twoje kuzynki, dziewięć dziewczątek młodziutek, najstarsza nie więcej ośmnastu lat, a żadna mniej czternastu. Świat jest jak młyn, toczy swoje wiadra, jedne pełne, drugie próżne; to reguła losu, że żadna rzecz nie trwa długo; jej prawo, to ciągła zmiana. Nie mogę wstrzymać się od łez, pomnąc honory, jakie mi wówczas świadczone, a choć za dawne

grzechy dzisiejsza bieda to jeszcze mało, powoli kurczyłam się aż do dzisiejszej chudizny. A w miarę, jak schodziłam nadół, kurczyły się moje dochody.

Lukrecja:

Trud to był, matko, z tyloma dziewczętami; ciężko paść takie stado.

Celestyna:

Trud, moje kochanie? Raczej odetchnienie i lubość. Wszystkie mię słuchały, wszystkie szanowały, wszystkie uniżały się przede mną. Wszystkie też kochałam, na wszystko się godziły, każdej oddawałam należność. Nie przebierały w tych, co ich wskazałam: kulatory, krzywy, mańkut...

Następuje brutalnie realistyczny obraz zepsucia kleru; autor nie oszczędza najwyższych. Inkwizycja nie skreśliła tego ustępu z powodu, że de Rojas był świeżonawróconym.

Akt X

Celestyna:

Znoś, pani, cierpliwie, to jest punkt pierwszy i najważniejszy. Niech się w tobie nic nie załamie, inaczej wszystka nasza praca daremna. Rana twoja ciężka, wymaga troskliwego leczenia. Twarde twardem najskuteczniej się gładzi. A powiadają mędracy, że gdy lekarz jest litościwy, to choroba schodzi głębiej. Przykrość przykrością, klin klinem się wybija, cierpienie cierpieniem. W sercu swem nie żyw nienawiści ani nie mów źle o młodzieńcu tak cnotliwym, jak Calisto, który, gdyby był lepiej znany...

Melibeja:

Na Boga, zabijasz mnie! Czy nie wzbrosiłam ci wychwalać przede mną tego kawalera ani wogóle mówić o nim źle czy dobrze?

Celestyna:

Pani, to jest inny, drugi punkt, a jeżeli nie godzisz się znosić, to próżno się trudzę; jeżeli zaś godzisz się, jakieś przyrzekała, to i ty sama będziesz uzdrowiona i Calisto nagrodzony. Uprzedziłam cię o swoich lekach, a na samo wspomnienie czujesz jakby uklucie szpilki.

Melibeja:

Tyle już razy powtarzasz imię tego młodzieńca, że nie wystarcza ani moje przyrzeczenie, ani zaufanie, abym miała cię znosić. Za co ma być nagrodzony? Co dla mnie uczynił? Co jestem mu dłużna? Za co zobowiązana? W czym może ulżyć mej dolegliwości? Wolalabym, abyś mię poszarpała na sztuki i wydarła mi serce, niż abyś tu przychodziła z taką mową.

Celestyna:

Nie szarpiąc odzienia, wpadła ci do serca miłość; ja też nie potrzebuję szarpać, aby cię wyleczyć.

Melibeja:

Jak to — powiadasz — nazywa się niemoc, co tak zawładnęła mą istotą?

Celestyna:

Miłość, słodka miłość.

Melibeja:

Widzę, czem być musi, skoro sam dźwięk tego wyrazu mię uwesela.

Celestyna:

Ogień utajony, rana rozkoszna, smaczna trucizna, słodka gorycz, miły ból, luba męczarnia, cukrowy a mocny cios, pieścizolliwa śmierć.

Melibeja:

Ach, biedna ja! Jeżeli to wszystko prawda, trudne będzie uzdrowienie!

Celestyna:

Niech młodość twa nie rozpacza o lekarstwo. Znam kwiat, co ci przyniesie ulgę.

Melibeia:

Jak się zowie?

Celestyna:

Boję się rzec.

Melibeia:

Mów bez obawy.

Celestyna:

Calisto (*Melibeia mdleje*).

Celestyna:

O, pan! Skąd to omdlenie? Podnieś głowę. O, nieszczęsna ja starucha. Tak to się kończą moje zabiegi? Jeżeli umrze, zabiją mię, a choćby nie, będę osadzona, ja i moje leki! Pani moja, Melibeo, mój aniele. Co ci to? Gdzie twój wdzięczny głos, gdzie barwy twego lica? Lukrecjo, Lukrecjo! Pójdź prędko, twoja pani zemdląła mi w rękach. Śpiesz, przynieś kubał wody!

Melibeia:

Nie potrzeba. Zbiorę siły. Nie niepokóje domu. — — — — —

O, mój Calisto, o, mój panie, moja ty słodka uciecho! Jeśli twe serce odczuwa, jak moje, dziw, że w oddaleniu możesz żyć. O, moja mateczko, zrób tak, abym go zaraz mogła oglądać, jeżeli nie chcesz, bym skoła.

Celestyna:

Oglądać i mówić z nim?

Melibeia:

Mówić? Niepodobna.

Celestyna:

Niema niemożności dla człowieka, co ma wolę.

Melibeia:

Powiedz, jak.

Celestyna:

Myslałam o tem. Powiem: w twoim domu.

Melibeia:

Kiedy?

Celestyna:

Tej nocy...

Utwór kończy się nieoczekiwanie, jak istna tragedia: Celestyna zostaje zabita w nocnej bóje ulicznej, Calisto po schadzce z ukochaną traci życie, spadając z drabiny, Melibeia, zrozpaczona, rzuca się z okna i umiera.

(*Fernando de Rojas, La Celestina, 2 vol., Madrid, La Lectura 1913.*)

WIEK ŻŁOTY

ROMANCA O «KRÓLU-DZIECKU», KTÓRY UTRACIŁ GRANADĘ

(XVI w.)

Był rok tysiąc czterechsetny
Dziewięćdziesiąty i wtóry,
Kiedy «król-dziecko» z Granady
Stracił resztę swej fortuny.

W poniedziałkowe południe
Opuszczał stołeczne mury,
Otoczony swem rycerstwem,
Kwiatem maurytańskiej družby.

Matka w królewskim orszaku
 Wiodła swe dworki i sługi.
 Przez środek rzeki Xenilu,
 Co wezbrała onej pory,
 Musiał przebrnąć; jako żywo,
 Nie zaznał równej przygody:
 W głębokiej wodzie zanurzyć
 Musiał kosztowne ostrogi,
 Ażebym podwoić ból,
 W sercu jego zwieleniony,
 Gdy jedyną dziś ostoję
 Miał w tej Alpuharze stromej.
 Ze wzgórza widok Granady
 Przed oczyma się odsłoni.
 Więc poglądał na Granadę
 I tak swej żałował straty:
 «O, Granado, ty przesławna,
 Gwiazdo szczęścia, dobrej rady.
 Oto me lube łązienki
 I mój zwierzyniec bogaty,
 Me pałace, moje pola
 I moszeje zdobione ściany,
 Baseny, ogrody, strugi,
 Gdziem odprowadzał swe zabawy;
 Kto mi, kto mi was odebrał,
 Nie ujrzę już waszej krasyl!
 Dzisiaj oglądam cię jeszcze

Zdaleka, o miasto moje,
 Wnet już ciebie nie zobaczę,
 Bo na zawsze stąd odchodzę.
 Kto ci zaufał, fortune,
 Zaprawdę, na zły jest drodze;
 Wczoraj byłem wielkim królem,
 Dziś niema, bym rzekł: To moje». —
 Tak to w sercu rozboleła
 Oplakiwał swą niedolę,
 Takimi słowy się żaląc,
 Padł zemdlony na opokę.
 Matka jechała na czele,
 Otoczona swoim dworem;
 Widząc, że się tam tłoczyli,
 Zatrzymała się w pochodzie.
 I pytała, nie wiedzący,
 Jakie to zdarzenie nowe?
 Odpowiedział stary Maur.
 Przemawiał zacie i dwornie:
 — «Syn twój patrzy na Granadę,
 Cierpienia przemóc nie zdole». —
 A na to odrzekła matka,
 W takie słowa się ozwała:
 «Stuszną jest, że dzisiaj mdleje
 I że szłocha, jak niewiasta,
 Kto, jak rycerz i mężczyzna,
 Nie obronił swego państwa».

Edward Porębowicz. Zbiór nieznanych hiszpańskich druków Bibl. Jag. w Krakowie. Rozpr. Wydz. Filol. Akademji Um., t. XV. Osobne odbicie: Kraków 1891. Biblioteka Jag. może się pochlubić, że posiada w formie ulotnego druku (pliego suelto) niewątpliwie najstarszy tekst romancy o Boabdilu (Królu-dziecku), i to drukowany w samej Granadzie, niedługo po zdarzeniu historycznym.

ROMANCA O OSTATNIEJ BITWIE CYDA

(XVI w.)

Martwy leży dobry Cyd,
 Cyd z Vivaru był nazwany;
 Gil Diaz, przywiązany sługa,
 Wypełniał jego rozkazy.
 Sztywne umarłego ciała
 Cnemi zaprawił balsamy.
 Twarz została urodziwa
 Barwy białej i rumianej.
 Oczy oboje rozwarte,
 Z głowy kędziory spływały;
 Zdało się, że nie był martwy,
 Raczej żywy rycerz wdały.
 — Ażebym się trzymał prosto,
 Gil Diaz użył tego środka:
 Posadził trupa na koniu,
 Deską barki ścisnął oba,
 Drugą położył na piersi,

Sięgała mu aż po biodra.
 Jedna sięgła do policzka,
 Druga dotykała czoła.
 Nie chwiał się na żadną stronę,
 Górą trzymała się głowa.
 — Dni dwanaście upłynęło,
 Odkąd Cyd zakończył życie,
 Wszystko jego dzielne wojsko
 Stańło, pogromić w bitwie
 Bukara, sultana Maurów,
 A z nim pogan wojsko brzydkie.
 W chwili, gdy wybiła północ,
 Tak jak było, ciało sztywne,
 Posadzone na Babiece¹,
 Sznurami związane silnie,
 Dostojnie wyprostowane
 Prężyło się, niby żywe.

¹ Babieca, legendarny rumak Cyda, ogier; klacze były używane jako zwierzęta pociągowe.

Nagolenie, nakolanka
 Czarno-biała barwa kryje;
 Wydawały się jak owe,
 Które wkładał, będąc w sile.
 Ubrali go w strój bojowy:
 Pięta dołem wysterczała;
 Tarcz powieszono na szyi,
 Po niej szła herbowa fala.
 Pergaminowa przyłbica,
 Na podziw wymalowana,
 Wydawała się ze stali,
 Misternie pleciona cała.
 W prawicy błyszczą żelazo:
 Tizona, hartowna szpada.
 Po jednej stronie szedł biskup
 Hieronim, biskupów chwala,
 Z drugiej strony szedł Gil Diaz,
 Uzda kierował rumaka.
 — Tuż zaraz Pedro Bermudez
 Sztandar Cydowy niósł górą;
 W poczcie czterechset hidalgów,
 Którzy mu za gwardję służą.
 Tyluż w tylnej straży kroczy:
 Tak stapał z rycerską družbą!
 — Za nimi doña Ximena
 Z wszystkimi swemi dworzany,
 Z sześciuset zbrojnych wasali
 Poczem, idącym w jej straży.
 Szli, milcząc, i tak powoli,
 Jakby w niedużej kompanji.
 Wyszli za mury Walencji,
 Wnet mia zabłysnąć świt ranny.
 — Ałkar Fañez skoczył pierwszy,
 Zuchowaty i zaciekły,
 Na potęgę maurytańską
 Wszystkiej Bukarowej czerni.
 Odrazu spotkał przed sobą
 Maurytankę dłoni dzielnej,
 Mistrzyni w strzelaniu lucznem
 Bełtami niedościgłemi.
 Estrella miała na imię,
 Ta córka tureckiej ziemi.

— Ona zatem była pierwsza,
 Co wyskoczyła na koniu,
 A za nią sto towarzyszek
 Biegłych i skorych do boju.
 Chrześcjanie ostro naparli,
 Wszystkie legły bez pardonu.
 — Tak poglądał na nie Bukar,
 Sultan pogańskiej nawały,
 Zdumiewali się z nim wszyscy
 Wielkiej armji chrześcijańskiej,
 Bowiem siedmiotysięcznemi
 Te hułce im się wydały.
 Wszyscy jednakowi strojem,
 Wszystko jednej barwy białej.
 Jeden zwłaszcza ich przerażał:
 Teższy wzrostem, okazały.
 — Jechał na śnieżnym rumaku,
 Na piersi miał krzyż w czerwieni,
 Biały sztandar trzymał w ręce,
 Ze szpady bił snop płomieni¹.
 Pierzchają, nie czekający,
 Wódz Bukar z królami swymi;
 Uciekają aż ku morzu,
 Gdzie na okrętach stanęli.
 A wojsko Cyda ich goni,
 Żaden z nich nie ujdzie śmierci.
 Tam potopili się w morzu,
 Zginęło dziesięć tysięcy;
 Nie mogli wstąpić na nawy,
 Napierani i stłoczeni.
 Z królów zginęło dwudziestu,
 Bukar uciec się nie leni.
 — Chrześcjanie biorą namioty,
 A w nich srebra, złota tyle,
 Że najbiedniejszy w bogacza
 Zmienił się w jedną godzinę.
 — Stamtąd poszli do Kastylji
 Grześć pana Cydowe ciało,
 Chciał, by u świętego Piotra
 Z Kardenji w grobie zostało:
 Tam więc spoczywają zwłoki,
 Co były Hiszpanji chwałą.

(*Romancero general, ed. Duran (nr. 901), Bibl. de autores esp. t. I, Madrid 1859.*)

LAZARILLO DE TORMES

Wasza Miłość masz wiedzieć przedewszystkiem, że mianuję się Lazaro de Tormes, syn Tomasza Gonçaleza i Antonji Perez, rodem z Tejares, wioski salmatyńskiej. Urodziłem się w rzece Tormes, stąd moje przezwisko, a stało się to w ten sposób: Mój rodzic, niech mu Bóg przebaczy, zarządzał szlifiernią warsztatu, położonego pośrodku rzeki, gdzie był szlifierzem od 15 lat. A moja małka, chodząca wówczas ze mną,

¹ W legendzie św. Piotr i św. Jerzy.

pewnego wieczora znajdowała się w warsztacie, poczuła bóle i tam mnie wydała na świat. Tak, że istotnie mogłem rzec, iż urodziłem się w rzecze.

Potem, kiedy miałem już ośm lat, mój ojciec stał się przyczyną nieszczęsnego krwawienia żeber u tych, co tam przybywali mleć, za co został uwięziony; przyznał się do czynu i cierpiał przesładowanie od sprawiedliwości. Ufam Bogu, że żyje w chwale niebieskiej wśród tych, co ich ewangelja zowie błogosławionymi.

(Po śmierci ojca i przygodach matki Lazaro został oddany na posługi ślepeca, z prośbą o troskliwą i czułą opiekę.) Rozpocząłem przeto nową służbę, kierując krokami mego starego opiekuna. W czasie pobytu w Salamance pan mój spostrzegł się, że dochód nie odpowiadał jego obliczeniom, postanowił zatem odejść stamtąd. Na odchodnym odwiedziłem matkę; popłakaliśmy się, dała mi swoje błogosławieństwo, przyrzecząc: «Synu, wiem, że cię już nie obaczę. Staraj się być dobrym i niech cię Bóg prowadzi. Wychowałam cię i dałam ci dobrego pana, bodaj dla twojej korzyści». Tak odszedłem do niego, który na mnie czekał.

Wyszliśmy z Salamanki i doszli do mostu, tam u wstępu stoi figura kamienna w postaci byka; stary kazał mi podejść i rzekł: «Lazaro, przybliź się do ucha zwierzęcia, a usłyszysz wewnątrz wielki huk». Ja głuptas podszedłem, czekając, że tak będzie. A kiedy poczuł, że moja głowa znalazła się narówni z kamieniem, wyciągnął nagle ramię i trącił ją tak mocno w djabelskiego byka, że przez trzy dni dokuczały mi uderzenia rogów, przyczem rzekł: «Głupcze, dowiedz się, że chłopiec ślepeca o jeden punkt musi być mędrszy od djabła». I śmiał się mocno z tej psoty.

W czasie obiadu stawiał przy sobie miech wina, ja prędko go brałem w ręce, dawałem kilka dyskretnych calusów i odstawiałem na miejsce. Ale trwało to niedługo. Bo po łykach oceniał brak i, żeby ustrzec wina, nigdy odtąd nie rozstawał się z miechem, ale dzierżył go troskliwie przy sobie. Lecz nie posiadał magnesu, aby go do siebie ściągać, a przeciwnie miałem go ja: słomkę żytnią, szeroką, odpowiednio przygotowałem; wsuwając ją w dziób miecha, wysysałem wino i życzyłem mu dobrej nocy. Ale, że zdrajca był bardzo przebiegły, podejrzewałem, że mię podслуchał, więc stawiał go między kolanami, chwycił ręką i tak pił bez obawy.

Ja, który przepadałem za winem, konałem z oskomy, a widząc, że ów sposób ze słomką mi nie pomagał, umyśliłem w dniu miecha zrobić źródelko i wąską rynienkę i zatykać ją małym szpuncem woskowym, poczem w czasie obiadu, udając, że mi zimno, wsuwałem się między nogi starego ślepeca i grzałem odrobiną ciepła; szczypta wosku tajała, źródelko zaczęło ciec mi do ust tak, że nawet kropla nie ginęła; kiedy biedaczek chciał się napić, już nie znajdował! Zdumiewał się, kłął, posyłał do djabła miech i wino, nie wiedząc, co wszystko ma znaczyć. — Nie powiesz, wuju, że to ja wypijam, bo nie wypuszczasz miecha z ręki.

(*La Vida de Lazarillo de Tormes, Clasicos castellanos, Lectura 1914.*)

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA

(1547—1616)

TEATR CUDÓW (INTERMEDJUM)

Wchodzą Chanfallo i dama Chirinos.

Chanfallo:

Niech ci nie wyjdą z pamięci, moja Chirinos, upomnienia, zwłaszcza względem naszej nowej komedji.

Chirinos:

Znakomity Chanfallo, co się mnie tyczy, posiadam dość pamięci i dość rozumu, aby brać cię za wzór, do czego dochodzi jeszcze chęć zadowolenia cię wedle możności. Ale powiedz, do czego ma służyć ów Rabelin, któregośmy z sobą zabrali. Czy my dwoje nie wystarczamy, żeby się uporać z tym nowym pomysłem?

Chanfallo:

Potrzebujemy go, jak chleba przy obiedzie, żeby pukał w czasie, kiedy się będą opóźniać z wyjściem figury naszego teatru cudów.

Chirinos:

Cud będzie, jeśli nas nie ukamienują, choćby za samego Rabelina, bo tak desperackiej kreatury nie oglądałam jeszcze w życiu.

Wchodzi Rabelin.

Rabelin:

Czy będzie robota w tej wsi, panie autorze? Bo umieram z chęci pokazania, że nie wzięłam cię na darmo.

Chirinos:

Cztery ciała, jak twoje, nie złożyłyby się na jedną trzecią, cóż dopiero na całą rolę. Jeśli nie jesteś lepszym muzykiem niż człowieczkiem, przepadliśmy.

Rabelin:

Sam ocenisz. Bo naprawdę zapraszali mnie, żebym wszedł do jednej kompanji jako współnik, choć jestem tak niepokaźny.

Chanfallo:

Jeśli dadzą ci część w miarę wzrostu, staniesz się prawie niewidzialny.

Chirinos:

Omów, a będziemy już we wsi, a ci, których stąd widzimy, muszą być: gubernator i alkadzi. Śpieszmy naprzeciw, a wyostrzcie języki na oselce pochlebstwa, byle nie za ostro.

Wchodzi: gubernator Benito Reppollo, alkad Juan Kastrat, ekonom i Pedro Capacho, pisarz.

Chanfallo:

Całuję ręce Waszych Miłości. Który z was jest gubernatorem wsi?

Gubernator:

Ja jestem gubernator, czego wam potrzeba, dobry człowiecze?

Chanfallo:

Posiadając dwie uncje roztropności, nie mogłem nie dowiedzieć, że ta perypatetyczna i przestrzenna osobistość nie może być kim innym, jak najdostojniejszym gubernatorem tej wielce szanownej wsi, z której będzie szczykła kiedyś W. M., jako wyższy dostojnik.

Chirinos:

Na korzyść pani i paniczów, jeżeli pan gubernator ich posiada.

Capacho:

Pan gubernator jest bezżenny.

Chirinos:

To później, kiedy będzie żonaty, nie na tem nie straci.

Gubernator:

Zatem czego pragniesz, zacny człecze?

Chirinos:

Czesne dni niech żyje W. M. za to, że nas tak uzacnia. Bo wreszcie dąb wydaje żołędzie, grusza gruszki, jagody wino, a zacny człowiek zacność, bo nie może być inaczej.

Benito:

Sentencja cyceroniana, nic nie dodać, nic nie ująć.

Capacho (Króbka):

Cycerońska chce powiedzieć pan alkad.

Scena 9

(Wchodzi Rodryk.)

Rodryk:

Ojcie i panie?

Krzywdzisz mię; powiedz, dlaczego
Ostatniemu slesz wezwanie,
Chociaz spłodziles pierwszego?

Diego:

Synu, umieram.

Rodryk:

Co ci jest?

Diego:

Cierpienie, szal, zalosc wsciekla.

(Gryzie go mocno w palec.)

Rodryk:

Ojcie, pusć, na piekla wszystkie,
Pusć rękę na wszystkie piekla!
Gdybyś nie był moim ojcem,
Dalbym ci policzek...

Diego:

Ha,

Nie byłby pierwszy!

Rodryk:

Jakto?

Diego:

Synu, synaczku mej duszy,
Twe oburzenie zachwyca,
Twój gniew moim celom służy,
Twą zuchwalosc blosloslawię.
Ta krew, co się żarem hurzy,
W twych zrenicach zaświecona,
Tę krew dala mi Kastylja,
Lain Calvo, Nuño, nasiona
Twejtężny; na policzku
Mym ją skazil hrabia Orgaz.
Ten, którego zwa «zuchwalym».
Synu, pójdz w moje ramiona,
Niech otuchę swą posile.
Zmyj hańbę mego honoru!
Którym też twój honor żyje;
Zmyj krwią, bo podobne plamy
Jedną krwią tylko się myje.
Gdy nie pierwszego wezwałem,
Byś dopełnil pomsty owej,
To, zem cię kochal nad wszystkich,
Ześ mi był nad innych drogi.
Myślałem, że bracia twoi
Pomszczą się mojej nieslawy,
By w wypadku chować w tobie
Pierworodztwo naszej chwały.

Ant. II.

Lecz skoro w nich obaczyłem
Sily wiolkie i duch słaby,
Zdwoila się, o boleści,
Hańba niecej tej obrazy.
Do ciebie śpieszę, Rodryku:
Wróc cześć mojej głowie starej!
Wróg możny jest i zuchwały,
Czyto w pałacu, czy w polu,
Wszędzie pierwszy, okazały,
A najtęższa lanca w boju.
Lecz skoro sam jesteś dzielny,
Czyni, co rozum ci powiada,
Zważywszy ciężką obelgę:
Tu krzywdza *(wskazując policzek)*
a tutaj szpada *(podając miecz)*.
Nic nadto tobie nie powiem,
Bo mi dusza rwie się z ciała;
Idę plakać swojej hańby,
Ty o zemście myśl i działaj.

Scena 15

Rodryk:

Hrabio!

Hrabia:

Ktoś ty zacz?

Rodryk:

Mój panie,

Zaraz dowiesz się, kim jestem.

Ximena *(na stronie)*:

Co to? Co to jest? Umieram...

Hrabia:

Czego chcesz?

Rodryk:

Pomówić pragne.

Ten starzec, który tam stoi,
Wiesz, kto on.

Hrabia:

Znam go, nie sklamie.

Czemu pytasz?

Rodryk:

Czemu? Ciszej.

Hrabia:

Cóż?

Rodryk:

Więc wiesz, że był wyskokiem
I honoru i odwagi?

Hrabia:

No, cóz jeszcze? Niechby był.

Rodryk:
 Że to jego krew, ta moja,
 Która się w mych oczach żarzy?

Hrabia:
 Pocóż wiedzieć mi, mój Boże!

Rodryk:
 Odejdźmy stąd; tam się dowiesz,
 Że coś przecie znaczyć może.

Hrabia:
 Chłopcze, odejdź stąd bez szkody,
 Mój ty kawalerze świeży;
 Idź naprzód między rycerzy,
 Swej tężyzny daj dowody.
 Twój ród chwałą się okryje,
 Żeś na mnie próbował szpadki.
 Nie będzie to honor rzadki
 Dla mnie, jeśli cię zabije.
 Odejdź, bijatyką gardzę;
 Pohamuj niewczesny gniew;
 Licho się kojarzy krew
 Z tem mleczkim na twojej wardze.

Rodryk:
 Nie chcę z ucznia cię ograbić:
 Na pierwszą lekcję mię prowadź!
 Ujrzym, czy umiesz szermować,
 Poczujesz, czy umiem zabić.
 A choćem niedość ćwiczony,
 Powie ci ta szpada naga,
 Że mistrzem mym jest odwaga
 W tej wiedzy niedouczonej.
 I wyjdzie mi większa chwała
 W nagrodę pomściwej skargi,
 Gdy się mleko mojej wargi
 Z krwią pomiesza twego ciała.

Peransules (na stronie):
 Hrabio!

Arias (na stronie):
 Rodryku!

Ximena (na stronie):
 Ach, biada!

Diego (na stronie):
 Pałę się, lecz nie od sromu.

Rodryk:
 Święcony próg tego domu.

Ximena:
 Przeciw memu ojcu, panie?

Rodryk:
 Nie zabijam, jeszcze znoszę.

Ximena:
 Posłuchaj mię...

Rodryk:
 Przebacz, proszę;
 Honor moje zawołanie,
 Pójdź, hrabio.

Hrabia:
 Odejdź, ty głupie pachole
 Z przywidzeniami olbrzyma;
 Zabiję ciebie oczyma,
 Gdy tu będziesz sterczał... W pole,
 Że cię puszczam, odejdź rad:
 Ruszaj, jeśli o się dbasz,
 Twemu ojcu dałem w twarz,
 Tobie tysiąc kopnięć w...

Rodryk:
 Cierpliwości kres już kładzie
 Ten bezwstyd.

Ximena:
 Biedna ma głowa!

Diego:
 Synu mój, zbyteczne słowa
 Odbierają tęgość szpadzie.

Ximena:
 Powstrzymaj gwałtowne ramię,
 Rodryku.

Doña Urraca:
 Okrutny los!

Diego:
 Synu, synu, ojca głos
 Przypomina hańby znamię.

(Wybiegają za scenę; za chwilę słychać
 krzyk hrabiego.)

Hrabia:
 Umieram!...

(Première partie des Mucedades del Cid de D. G. de Castro, p. p. Ernest Merimée,
 Toulouse 1890, Bibl. méridionale.)

POCZĄTKI I ROZKWIT ROMANTYZMU

MARIANO JOSÉ DE LARRA
(1812—1837)

CZŁOWIEK BALON

Są ludzie stali, płynni i lotni. Człowiek stały jest ten człowiek ścisły, zwarty, słoczony, który utrzymuje się w niższych warstwach atmosfery ludzkiej, skąd nie może poderwać się nigdy... Podścielisko ludzkości, fundament społecznego gmachu... Jest nim tłum niezmierny, który nazywamy ludem, który się zużywa, po którym się depce, zstępuje, wstępuje, w którym się kopie jamy, na którym się pracuje, cierpi. Czasem jednak powstaje i jest straszny; tak podnosi się grunt w chwili trzęsienia ziemi. Mówią wtedy, że otwiera oczy. To błąd; równie możnaby nazwać oczyma ziemi owe czeluście, które otwiera wulkan.

Człowiek płynny krąży, bieży, zmienia pozycję, objawia dążność do zapelnienia próżni, posiada już wyższy stopień ciepłika, pływa ustawicznie po człowieku stałym, macza go, psuje, żre, podmywa, dusi... Jest to stan średni... Cios, zadany ciału stałemu, odszczepia zeń kawalek; cios, wymierzony w masę płynną, napotyka opór, wywołuje falowanie i ruch. Oto spostrzeżenie: cios, wymierzony klasie średniej, odpryskuje ku temu, kto go wymierzył.

Człowiek gaz wreszcie, to genjusz, unoszący się ponad tamtymi obiema warstwami, poeta, artysta, myśliciel, polityk. (Tu wpada autor na tor satyryczny, stosując swą formułę do polityków współczesnych.) Aby gazowi nadać formę, niema innego środka, jak zamknąć go w naczyniu; dlatego nazwaliśmy takiego człowieka balonem.

Wzniesienia w 1808 i 1820 r. nie udały się; powinnyby znaleźć zastosowanie spadochrony. (A co za okrzyki przy każdym wznoszeniu się jakiejś osobistości):

Podnosi się; teraz, teraz; co za zaszczyt, co za splendor!... Ładują im balon, powierzą im go: patrz, jak się nadymają sami. Któż ośmieli się wątpić, że wystarczy gazu? (A potem, kiedy się już wzniosą, jak to znalazłszy się na wysokości pałacu, która nie jest wielką wysokością, zdają się maleńcy): człowiek balon jest już orzeszkiem, już jest niczem...

(*Revista española* 1835.)

Na dzień zaduszny: Figaro na cmentarzu. Poeta błądzi po ulicach Madrytu, które wydają mu się cmentarzem. Na froncie rezydencji czyta napis: «Tu spoczywa tron». — Na arsenale: «Tu spoczywa dzielność kastylska z wszystką swą amunicją». — Na ministerjach: «Tu leży połowa Hiszpanji, zmarła od drugiej połowy». — Na jednym głazie czyta napis: «Tu leży inkwizycja, córka wiary i fanatyzmu; umarła ze starości». — Na więzieniu: «Tu spoczywa wolność myśli». — Na giełdzie: «Tu leży kredyt hiszpański». — Wszystko pomarło; jeden cień handlu włóczy się po ulicach. — Była noc; chłód mroził mi żyły; chciałem wyjść koniecznie ze straszego cmentarza, uciec w głąb własnego serca, niedawno pełnego życia, złudzeń, pragnień... Święte nieba! Nowy cmentarz. Moje serce było tylko grobem; na nim napis: «Tu leży nadzieja».

(*Tamże* 1836 r.)

JOSÉ DE ESPRONCEDA Y LARA
(1808—1842)

STUDENT Z SALAMANKI

Don Felix de Montemar, figura nienowa, poprostu hiszpański Don Juan, ale chodzący na sprężynach Byrona. Treść, poszarpaną tajemniczo, przedstawimy, jak jest, dla uzmysłowienia manieri pisarza.

Część I. Czarna złowieszcza noc; godzina duchów; — naprzód nic, potem szczęk szpad i ludzkie jęki, wreszcie dosłownie taki szereg wierszy: «Jęk — ścichł; — jakiś cień — okutany w kapeluszu — wywinęty — przemknął tuż — pod murem kościoła i w cieniu znikł». — Inna ulica: Pod krzyżem klęczy kobieca postać, tajemnicza figura przysuwa się, i tu mamy zaraz (poeta nie czeka, aby czytelnik sam coś z dalszej treści wywnioskował) — jej duchowy portret:

Drugi Don Juan Tenorio,
Serce dumne a bezczelne,
Nie religijne, lecz dzielne,
Zwada, bój dla niego żart.

W oczach ustawnie zniewagę,
A szyderstwo ma na wardze;
Jakby mówił: «Wszystkiem gardzę,
Cenię szpadę mą i hart».

Do dna zepsuty urąga
Kobiecie, gdy się jej wdzięczy;
Dzisiaj u kolan jej klęczy,
A jutro już szydzi z niej etc.

Powieść się urywa; w części II zaglądamy przez kamienny mur do ogrodu; noc pogodna, ciepła, niebo gwiaździste; między drzewami przesuwa się biała postać w pełnym blasku księżycy. To Elwira. Łkanie szarpie jej łonem, tęsknota za kochankiem, wstyd opuszczonej wzbiera nad miarę. — Elwira kona.

Część III w formie dramatycznej. Dom gry. Trzej gracze rzucają kości o ostatnie stawki; między nimi Don Felix, wyniosły, chłodny, ironiczny, niedbały. Przegrywa wszystkie pieniądze, medaljon z portretem Elwiry, wreszcie ją samą. Zjawia się brat uwiedzionej, Don Diego, miota się, przeklina rozpustnika za śmierć siostry. Don Felix spokojny, szyderczy, wyzywa go na pojedynek; wychodzą na ulicę... Tu rozerwane części powieści zaczynają w się myśli czytelnika sklejać; ów szczęk, któryśmy słyszeli na początku, pochodził od tych dwojga szpad; jęczącym śmiertelnie — ranny Don Diego, morderca — Don Felix, postacią pod krzyżem — duch Elwiry.

Ale proszę uważać, jaką romantyczny zapęd wyprawił poecie psotę! Łatwo skombinować, że noc śmierci Elwiry była nocą pojedynku. A choćby nawet pojedynek odbył się nocy następnej (boć Don Diego zemsty odkładać nie mógł), to i tak wypadnie na jedną dobę pełnia, a na drugą now...

Mniejsza z tem, straszny pomysł rozwiązania powieści każe zapomnieć o podobnych drobiazgach.

Część IV. Postać z pod krzyża wstaje; twarz ma zakrytą, ale kibić i ruchy powabne; dość, aby Don Felix już ją zuchwale zaczął, poszedł za nią i kusił. «Chodź za mną» — odszepnęła postać i poczęła wodzić go po ulicach miasta; im dalej szli, tem miasto wydawało się bardziej ogromne; ulice ciągnęły się w nieskończoność, a wszystkie jakby swojskie, jakby znajome. Wtem na jednym zakręcie spotkali jakiś ponury, tajemniczy, pogrzebowy konwój. «Spójrz!» — rzekła niezajoma. — Don Felix spojrział, i o zgrozo! Obaczył w otwartej trumnie swój sobowtór z bladą twarzą trupa. Ale odważny junak roześmiał się i poszli dalej. Ona ostrzega go: «Wróć, każdym krokiem zbliżasz się do śmierci». Odpowiedział cynicznym żartem — i tak szli, aż znaleźli się w jakiejś komnacie; nagle dno jej zapadło się, i Don Felix stanął na dnie piekła. Otoczyły go wieńcem widma, zbliżył się i Don Diego, żądając zadośćuczynienia dla narzeczonej. Ona też odsłoniła twarz i stanęła w środku...

Wstrętna, okropna martwica,

Biała kochanka śmiałego junaka.

«Ha, dobrze więc, biorę ją za żonę» — zawołał nieugięty szyderca.

Wtedy ten chudy i bezkrwisty szkielec,
Swe długie, zimne, cuchnące ramiona
Mocno mu splótszy u szyi, u łona,
Czule, namiętnie do siebie przygarnie

I bezcielesną ust swych jamą szuka
Ust Montemara, i o jego lica
Zeschła, bezmięсна i żółta martwica
Ociera swoją obrzydliwą twarz.

(*J. de Espronceda, Obras poeticas, Madrid 1884.*)

GASPAR NUÑEZ DE ARCE
(1834—1903)

STROFY Z HASEŁ BOJOWYCH
(1855—1868)

Gdyby tę lirę, co z Quevedą leży
W mogile, dostać mogła moja ręka,
To wśród tej zgrai kłamców i fałszerzy,
Pośród wyziewu hańby, co kraj nęka,
Śród atmosfery dusznej i nieświeżej,
Śród tej duchowej Hiszpanji, co pęka...

Lira jego znalazłaby:

Głos oburzenia, gromkiego okrzyku,
Któryby wstrząsnął ziemię aż do szpiku
I w niej leżącą ludzkość!

— — — — —
Lecz dziś, gdzie spojrzeć, broń mordercza bije
Razem w Cezara i Boga...

— — — — —
Wolność! ha, wolność! Nie jesteś ty więcęj
Ta w białej szacie przezczysta dziewica,
Którą w snach widział duch mój pacholący:
Bogini, która przepaści rozświeca
I żądę chwały nieci wśród tysięcy;
Ni na tyranów piorun; — n...
Rokozsu, z więzów zerwane szaleństwo,
Dziś cię poznałem i rzucam przekleństwo.

(*Gritos de Combate.*)

JOSE ZORILLA Y MORAL
(1817—1890)

GRANADA
(1852 r.)

Powieść jest poetycką historją Granady, od założyciela Alhamara do ostatniego z królów Boabdila, i dzieli się na dwie części: 1) Cudowne założenie Alhambry; 2) jej upadek. Już na wstępie spotykamy odurzające opisy Andaluzji i jej mieszkańców:

Tam więc, pod niebem jasnym, przezroczystym,
Gdzie się Maurowie jak do raju parli,
Mieszka jeszcze dziś, w świecie rzeczywistym,
— Jakby ci dawni ludzie nie wymarli —
Kobieta z okiem i sercem ognistym,
Ręką perłową, stopą miary karlej;
Kobieta z rasy, której ledwo szczątek
Skrył się w ten dawnej Arabji zakątek.

Owa hurysa, o której wieść dzwoni
W czarodziejstw pełnych mitach musleminów,
Spoczywająca pośród kwiatów woni
Pod białem płótnem na łożu z jaśminów
I wonne wargi z róży i lewkonji
Odchylająca do słońca karminów;
Jeszcze jej w uszach szept luby szeleści,
Uścisk niedawny jeszcze zmąsły pieści.

Tam obaczycie, jak Babelu miasta,
 Ganków wiszących złoto i marmury;
 Ponad tarasy silny cedr wyrasta
 I smukła palma z kiściowemi pióry,
 I słodki platan, i sosna żylasta,
 I sykomorów poważne kontury,
 Aloes wznosi się z róż legowiska,
 Pośród nopalów cytryny liść błyska.

Opisy są najwyższą chwałą Zorilli; poeta zna język arabski i przyswoił sobie ową wschodnią manierę «Pieśni» Salomona, tak mało przystępną naszemu poetyckiemu poczuciu. Oto obraz Afrykanki:

Twoje włosy są ogrody,
 Które czesze wonny wiatr,
 Podczas gdy w niej maj zaplata
 Wstęgi zielonych gałązek.

— — — — —

Pałac Jeneralife w Granadzie

O święty pałacu zambry ¹ ,	Królewski bracie Alhamby,
Gotowalnio lubych godów,	Pawilonie wiatrów wiewnych,
Wysoki królu ogrodów	Faworycie ptaków śpiewnych,
I trefnisiu żywych wód;	Zwierciadło słonecznych wrót.

— — — — —

Granado, córko słońca, latarnio mórz nieba,
 Zwierciadło hurys, płaszczu na ich gibką kibić,
 Który Allach przed drzwiami raju raz chciał przybić,
 Ażeby mu zasłaniał koralowe bramy;
 Skrzynio perłowa, wazo na cenne balsamy,
 Z nazareńskiego kiosku pieścidelko cenne,
 Święte, jak święta Mekka, jak Sałem solenne.

GNOMY I KOBIETY

Pozwólcie, niech tu siedząc, gdzie burz nie dojdzie chmara,
 Piję wiatry, co chłodzą Alhambrę Alhamara.
 Pozwólcie, huraganu nim tuman się przetoczy,
 Niech pod osłonę drzew tych ucieknę i niech oczy
 Ja, starzec, raz obrócę za się.

Pozwólcie, niechaj westchnę i łzami się zaleję,
 Niech nad grobem pomarzę, myślami poszaleję,
 I niech nareszcie zginę, skoro mi zginąć pora,
 Z sumieniem własnem w zgodzie; tak odkupując wczora,
 Płacząc tego, co dzisiaj, i o jutrzejsze drząc.

Wstańcie mi w duszy znowu, marzenia moje rane,
 Jak liście wiatrem wzięte i w morzach zabłąkane;
 Wy wszystkie, hen, ode mnie wdal rozfrunięte rzesze
 Sokole, wróćcie razem ku pochylonej strzesze,
 Synowie marnotrawni, powróćcie pod swój dach.

(José Zorilla, Obras, Paris 1864, 3 vol.)

¹ Zambra, maurytański świąteczny taniec.

CZASY NOWE

RAMÓN DE CAMPOAMOR Y CAMPOOSORIO

(1817—1901)

SMĘTKI I ŚPIEWY

- «Księżę proboszczu, list napisać proszę!»
 — «Liścik? Ej, wiem, do kogo...»
 — «Boście widzieli...» — «No, no — nie rozgłoszę;
 No, no, nie patrzę srogo».
 — «Darujcie...» — «Na cóż te minki rozpaczne?
 Kochać się wszak nie bronie.
 Noc, okazja... Daj papier, pióro; — tak. Więc zacznę:
 Mój kochany Ramonie».
 — «Kochany?... Ależ... Zresztą, już przypadło».
 — «Nie chcesz? Nie nalegamy».
 — «Chcę, chcę...» — «Jakże mi smutno... Czy się zgadło. —
 Jakże mi smutno samej.
 Tęsknota dusi mię, nie wytrwam w męcel...»
 — «Skąd wam myśli me znane?»
 — «Starzec przez takie serduszko dziewczęce
 Przegląda jak przez szklane».
 «Bez ciebie życie płynie mi nieraźnie,
 Z tobą jak w raj u ładnie».
 — «Księżę proboszczu — a piszciesz wyraźnie!
 Niech pojmie to dokładnie».
 «Ten pocałunek, co na pożegnaniu
 Dałam ci...» — «Skądże wiecie?»
 — «Wszak przy rozejściu czy też powitaniu
 Nie obejdzie się przecie...»
 «Powróć mi, bo się już nie przewycięzę;
 Stęknionam i strapionam...»
 — «Strapionam? Jakto? Nic więcej?... A, księżę,
 Napiszcie mu, że skonam!»
 — «Skonam!... Czy ty wiesz, to Boska obraza!»
 — «Skonam, skonam!...» — «Milcz, mała!
 Mówię, nic z tego!» — «Ach, człowiek z żelaza.
 Gdybym pisać umiała!»

(Dolores y cantares.)

METEMPSYCHOZY

Czytałem, ja młody mól,
 Starą księgę, gdzie uczenie
 Głosił jakiś mędrzec król,
 Że odmieniać przeznaczenie
 Jest to tylko zmieniać ból.

Kwiat *(mówi)*

Sasanka wzrosłam nieznana
 I wśród trzciny skończyłam być,
 Żądająca, nieżądana,
 Nieznająca, co dnia świt,
 Płacząca i nieplakana.

Zwierzę

Cisy runak, z gonu w gon
 I ze zwycięstw na zwycięstwa
 Mknąc, zbierałem trudów plon:
 Sobie rany — panu księstwa,
 Panu chwałę — sobie skon.

Plak

Kobieta

Piękna wśród ziemianek grona,
 Kochanka — łamałam śluby;

Zznałam niewiary — żona;
Kto mię kochał — był niełuby,
Kochając — byłam wzgardzona.

Mędrzec

Przez ciernie za prawdą wśląd
Szedłem, dojrzeć chcąc jej lic;
Od najmłodszych życia lat
Celem mym — wszechbył, wszechświat,
A odkryciem było: nic.

Dykta tor

— — — — —

Człowiek

Czując, że się już wyczerpie
Wnet fatalnych szereg przemian,
Dziś na wąskim ziemi sierpie,
Za przykładem innych ziemian,
Żyję, płacząc, wierzę, cierpię.

Słyszając księgę, czytelniku,
Rzeczysz pewno: Cóż mi znaczy,
Kwiatem, ptakiemli w gaiku,
Genjuszem los być przeznaczy,
Gdy ból zawsze mam w wyniku?...

KOMEDJA WIEDZY

(Treść — wzięta z rzeczywistości.
W teatrze zebranie liczne;
Miejsce komedji Ateny,
Epoka — czasy klasyczne.

Wielka pauza. — Scena pierwsza.
Wchodzi na scenę jak śpiący
Heraklit i, lkając głośno,
Mówi w sens następujący):

«Aj, moja wiedza jest kłamna;
Nie rozumiem nic na świecie,
Choć wiem, że jest Bóg; — z niczego
Nic nie może powstać przecie.

Powagę najwyższej sławię;
Złym trzeba koniecznie bata...
(Nieprawda! — wrzeszczy kanalja,
Tak — woła arystokrata.)

(Heraklit): Myślę, powaga
Monarsza jest taka władza,
Którą ludzkich praw logika
Z władzy Boskiej wprowadza.

Wywodzi jeszcze długo swoje teorje;
rezultat ich brzmi:

Jak mamy wyzyskać życie?
Za winy łzami uderzyć,
Rozmyślać, ciągle rozmyślać,
Wierzyć i jeszcze raz wierzyć.

Heraklit wzdycha; teraz się Demokryt
zjawia na scenie i, widząc, jak tamten wzdy-
cha, zaczyna śmiać się szalenie, poczem przy-
chodzi do ostrego sporu:

(Heraklit): Wszystko jest bólem!
(Demokryt): Wszystko jest szaleń!
(Heraklit): Dusza jest ogniem!
(Demokryt): Dusza jest kałem.

(Heraklit cichnie i mruczy):
Życie ludzkie jest męczeństwem.
(Demokryt): Świat jest materją,
A ludzkie życie błazeństwem.

— — — — —
Jest częścią powszechnej duszy
Ta człowiecza ziemiska dusza.
(Większość, prawie wszyscy: Brawo!
Mniejszość ramionami rusza.)

(Demokryt): Wirem atomów,
Wracających nieskończenie,
Jest Bóg, życie i użycie,
Sprawiedliwość, przeznaczenie.

Co jest, to powstało z tego,
Co było przed wielą lat;
Sam człowiek rodzi się, rośnie,
Jak rodzi się, rośnie kwiat.

Z materji, która już jest,
Ułoży się wieków kolej;
Ludu, ciesz się dniem dzisiejszym,
A nad przyszłością nie bolej.

(Śmiech i ogólne oklaski.)
Demokryt: Z tego wynika,
Że dusza to jest zmysł uczucia,
Rozkosz — najwyższa etyka.

Żyć, znaczy myśleć i wierzyć
(Mówi Heraklit i wzdycha).
(Demokryt): Żyć, znaczy czuć
I pić z rozkoszy kielicha.

(Płacz i śmiech. Niebo tymczasem
Obojętnie bieg swój znaczy,
Bo wreszcie, co mu do naszych
Czyto uciech, czy rozpaczy?)

Ostatnia niewczesna refleksja autora psuje całość, bo przerzuca uwagę czytelnika na temat daleki od dialogu aktorów. W dalszym ciągu:

(Szmer. Cisza. Rozczarowanie.
Wstępuje trzeciemi drzwiami
Sokrates — jak mówi Homer —
Z śmiechem ukrytym pod łzami.)

(Sokrates): Warjat warjata
— Widzę — przegadać się stara.
Nie widzisz, że między małym
A dużym właściwa miara?

Każe na temat: Wiem, że nic nie wiem —
i: Znaj siebie samego:

«Poznaj się» — powinno być
Człowieczej wiedzy otchłanią;
Kto się zna, ten rozoznaje,
Ile jest przed nią, a za nią.

«Lud trzeba wykształcić dla zrozumienia mądrości»; motloch syka, a Sokrates: «Dzięki! Tłum wszechwładny przypomina zawsze bezstronnemu człowiekowi obecność powszechnego tyrana». — Nowe syki, sensacja. — Sokrates: «Królem jestem własnej duszy i słucham jedynie tego prawa, które Bóg złożył w mym rozumie».

(Motloch wyje oburzony.
Sokrates z godnym obliczem):
Człowiek jest środkiem wszystkiego,
A przed nim wszystko jest niczem.

Jest jeden Bóg. (Wielka wrzawa
I rozruch pośród holoty.)
Sokrates: Bóg, twórca piękna,
Bóg, twórca dobra i cnoty.

Serca, jak moje, jedynie
Jemu czci złożą trybuty.
(Tłum wrzeszczy: Bezbożnikowi
Biada! Cykuty, cykuty!)

Sokrates wśród obelg zdoła wymówić jeszcze: «Śmierć, ostatni dar Nieba», autor zaś wysuwa refleksję:

Któryż sąd: mędrca czy tłumu
Ma przed rozumem pierwszeństwo?
Jeśli mędrca — chwała życiu;
Jeśli motlochu — przekleństwo!

(Tłum objawia niecierpliwość.
Rozpoczyna się akt czwarty.
Wchodzi Diogenes z latarnią,
Na plecach wór, płaszcz podarty.)

Rozwija bardzo długo swoje cyniczne teorie marności życia i streszcza je w tej końcowej formule:

Co jest świat? — To, co widzimy.
Wiedza? — To, czego nie znamy.
Bóstwo? — To, co szanujemy.
A cnota? — To, co kochamy.

Autor zaś zamyka komedię epilogiem, usprawiedliwiającym wahanie się ludzkości wśród takich kontrastów:

Więc chociaż do duszy tłumu
Z cnoty harmonja się śmieje,
Choć z swojej wiary ma błogość,
A z swego Boga nadzieję,

To, słysząc mędrców tych kłótnie,
Nie zgadnie, w co ma uderzyć:
Czyli ma śmiać się, czy płakać,
Czyli ma wątpić, czy wierzyć.

(*R. de Campoamor, Obras completas, 8 vol., Madrid 1901—1903.*)

GUSTAVO ADOLFO BÉCQUER
(1836—1870)

PRELUDJUM

Zowę się hymnem dziwnym, gigantycznym,
Hejnałem zorzy w nocy przesileniach;
A karty pieśni moich są rytmicznym
Spadkiem, którym wiatr uderza po cieniach.

I chciałbym pisać — pelen światła wzgardy —
Zmieniając język ten blady i twardy
Na słowa gromkie, coby były razem
Szlochaniem, śmiechem, muzyką, obrazem.

Próżny wysiłek, bowiem niema mowy,
Coby wydała ten hymn piorunowy;
I dość mi — piękna! — gdy trzymam twe dłonie,
Jeśli go tobie miast światu wydzwonię.

Pewnego dnia ukochana kobieta zdradza go; opowiada mu o tem przyjaciel; cała historia wewnętrznej walki po tem odkryciu maluje się w rozdzierających tonach dalszych poematów, aż do rozpaczego finału:

Wy, miotające się z rykiem bałwany
Na brzeźną skałę i niby w wałtuchy
Otulające ją w białawe piany,
— Weźcie mię z sobą!

Wy, nad lasami dzikie zawieruchy,
Których pęd liście z drzew najwyższych strzyże,
A potem gubi w rozwichrzonym wirze,
— Weźcie mię z sobą!

Weźcie przez litość, gdzie mi pamięć moję,
Gdzie mi wraz rozum i życie zabierze:
Przez litość! bo sam pozostać się boję
Z taką boleścią.

(G. A. Bécquer, *Obras*, 3 vol., 1898.)

MANUEL TAMAYO Y BAUS

(1829—1898)

DRAMAT NOWY

Dla zaznaczenia wprost swego rewolucyjnego zamysłu przenosi nas poeta w świat szekspirowski, z Szekspirem samym jako aktorem. Treść zawikłana nieco, gdyż przedstawiająca dramat w dramacie i scenę na scenie (wzorem «Hamleta» i «Snu nocy letniej»), wymaga pewnej bacności.

Mistrzowska ekspozycja znajduje się w pierwszej scenie: Szekspir, dyrektor teatru, trzyma w rękę manuskrypt, z którego rozdziela role między swych aktorów. Treścią wystawianej przezeń sztuki jest smutny dramat, rozgrywający się w domu hrabiego Oktawjusza, któremu wychowaniec Manfred — z fatalności spotkania się dwojga idealnych istot — uwodzi żonę, piękną Beatrycę. Do Szekspira zbliża się bufon Yorick, prosząc o rolę Oktawjusza, gdyż — jak mówi — śmiech sobie uprzykrzył. Szekspir wie, że w domu Yoricka, który zaślubił młodą aktorkę Alicję i przyjął na wychowanie sierotę Edmunda, istnieje sytuacja ta sama, roli więc oszukanego męża dać mu nie chce, wreszcie jednak naparty ustępuje. Alicję i Edmunda, którzy mają grać Beatrycę i Manfreda, zaczyna osnuwać siecią nienawiści rywala Yorickowego, Waltona. W tym drugim akcie są sceny prześliczne, czy kiedy kochankowie czują zgryzoty nad niewdzięcznością i zdradą, czy kiedy podejrzliwy Yorick, raz wściekły, raz czuły, wzywa Alicję, aby wszystko wyznała.

W akcie III widzi się scenę i przedstawienie nowej sztuki. Aktorowie przechodzą sami siebie i wywołują burzę oklasków. Yorick gra znakomicie zazdrosnego męża, Alicja i Edmund kochanków, Walton zdrając. W pewnej chwili Edmund, który widzi się odkrytym przez Waltona, podsuwa Alicji bilet i oddaje Yorickowi w miejsce białej kartki, przygotowanej w rekwizytach. Tak dramat udany przemienia się na prawdziwy: Edmund i Yorick wypełniają w ciągu dalszym swe role, dobywając szpad, pierwszy pada na ziemię raniony — śmiertelnie! Publiczność klaszcze, zachwycona realizmem gry, i dopiero w zakończeniu dowiaduje się o prawdzie. Szekspir wychodzi i w epilogu powiada: «Panowie, widzicie: Yorick w gorączce gry zranił aktora, który grał rolę Manfreda. To nie wszystko: Waltona znaleziono leżącego z przebitą piersią u wejścia do teatru. Módlmy się za umarłych i za morderców».

Pomyśleć, jaki efekt grozy i przerażenia musi wywoływać sztuka ta na patrzących. Granica rzeczywistości i udania zaczyna się przed widzem zacierać, tak że narazie nie może sobie zdać sprawy, czy istotnie tam na deskach nie grał się dramat prawdziwy. W tem ovladnięciu widzom zawiera się też najwyższy triumf poety.

ADELARDO LÓPEZ DE AYALA
(1829—1879)

TYLE OD STA

Rzecz dzieje się u wód, w prowincji Santander; bohaterowie pochodzą z mieszczańsko-arystokratycznego madryckiego świata. W scenie I poznajemy zaraz całe szanowne grono ludzi interesu: Robert, przedsiębiorca-inżynier, który przedstawia plany przyszłego kanału kastylskiego i zachęca do zakupu akcji, mogących nabrać wysokiej wartości; Gaspar i żona jego Petra, chytrzejsza od męża i zdatniejsza do zawiłkanych interesów, demoralizująca dobrego w gruncie rzeczy człowieka gorączką zysku; Andrzej, kuzyn Petry, bankrut fizyczny, moralny i majątkowy, pragnący ratować się opętaniem hrabiny Izabeli i zmuszeniem jej do małżeństwa. Na tem brudnym tle jaśniej odbija jedynie bezinteresowna, idylliczna miłość Pawła i Izabeli. To też oboje są obsaczeni. Na nią zastawia Andrzej piekielne sidła; oto, jak Robert podpowiada mu własny jego plan:

Robert:

Nie spuszczaam hrabiny z oczu,
Ale krok w krok za nią chodzę,
Zawsze pełen najgłębszego
Szacunku; nie mówię nigdy
O miłości lub małżeństwie...
Czynię tak, aby pozory
Przedstawiły mię szczęśliwcem,
I tak to w niej budzę ufność,
U drugich budzę domysły.
W ten sposób...

Jest to «kalumnja niema», która często prowadzi do celu. Obok niej zna dobrze Andrzej środek jeszcze cyniczniejszy: chce ją skompromitować, jak przed laty biedną dziewczynę, do której dostał się przez balkon po sznurowej drabinie, wybraawszy chwilę taką, iż go spostrzeżono. «Co za zdarzenie» — powiada:

... «ten sam
Pokój służy za sypialnię
Hrabinie; cel mój jest zacny:
Naprzód ją skompromituję,
Potem skłonię do małżeństwa».

Ale łotr znajduje mistrza w Robercie.

«Ha! ten głupiec ją zniesławi,
Ja wtrączę się, w jej obronie
Stanę i...

słowem, myśli użyć Andrzeja za narzędzie jej niesławy, a potem przedstawić się wybawcą, prosząc ją o jej rękę.

Drugą sieć zastawiono na Pawła. — Paweł kupił wille, która podobala się jego ukochanej; w chwili, gdy potrzeba złożyć pieniądze, dowiaduje się o bankructwie domu handlowego, gdzie był umieścił swoje kapitały. Od kupna cofać się nie chce, gdyż dał słowo; potrzeba mu 15 tysięcy duros. Gaspar podsuwa Roberta, «przyjaciela z lat dziecińczych», który przez pamięć tych świętych więzów pożyczka rzeczoną sumę, ale

bierze w zastaw majątek Pawła w prowincji Zamory, «à carta de gracia», t. j. z warunkiem wykupu w pewnym terminie. Posiadłość leży właśnie na przestrzeni, którą ma przecinać kanał; ponieważ sam Robert tak dużej sumy nie posiadał, składają się na nią w sekrecie Robert, Gaspar i Petra, a nawet — świetnym pomysłem — Sabino, lokaj Pawła, i Ramona, pokojówka hrabiny. Właśnie dzienniki donoszą o udzieleniu koncesji na kanał: chęć zysku zamienia nagle tych akcjonariuszów w moralnych zbrodniarzy. Aby Paweł nie mógł wykupić zastawu, potrzeba rozerwać jego małżeństwo z Izabelą, której posag mógł go ratować; więc w półsłówkach, w aluzjach, zwierzeniach, sposobami owej «niemej kalumnji», wmawiają w Izabelę, że Paweł zrujnowany chciał ją wyzyskać, że jest to rozpustnik, który umizgał się nawet do Petry i Ramony. Hrabina wierzy (zarzucić można, że zbyt łatwo wierzy), wyróżnia ostentacyjnie Andrzeja — Paweł, zrozpaczony, usuwa się.

W akcie II Andrzej wykonywa swój haniebny plan, wchodząc oknem do mieszkania Izabeli i zostawiając drabinkę u balkonu; na szczęście, ona sama bawiła całą noc w sąsiedztwie u Petry. Przyszędzszy do przekonania, że ją zwiedziono, radaby przebłagać Pawła, ale już wieść rozeszła się; Paweł przybywa, aby ją potępić. Nieszczęsna wzywa na świadków swej niewinności wszystkich, którzy o niej musieli być przekonani; szal zysku zamyka im usta, odwracają się ze wstydu, lecz milczą. Hrabina dostaje ataku nerwowego, który wpędza ją w ciężką chorobę.

Akt III. Zbliżył się termin, w którym majątek Pawła, niewykupiony, ma się dostać w ręce akcjonariuszów. Robert ułożył plan swój znakomicie: Andrzeja, od którego ma w ręku list o chybieniu zasadzki, posyła do więzienia za długi, sam zaś przedstawia się z tym dowodem, jako rycerz-mściciel. Plan chybia: Izabela wykupuje w ostatniej chwili majątek Pawła, poczem zrehabilitowana oddaje mu swą rękę.

W scenie 5 aktu III hrabina pyta kolejno swych katów, czy straszne sny ich nie dręczą:

Hrabina (<i>wychodząc</i>):	Hrabina.
Hola, dobrzy ludzie!	Co, ja?... Rzadki
Gaspar:	Wypadek, bym ja nie spała,
Dzisiaj	A wy spali.
Bogu dzięki ma się lepiej.	Ramona:
Petra (<i>do hrabiny</i>):	Znów zaczyna!
Zdrowsza?	Hrabina:
Hrabina:	Jaka szczęśliwa. Śpisz mocno?
Jak się wam powodzi	Petra:
Od tamtej ostatniej nocy?	Czyż nie powiadam, że tak!
Petra:	Hrabina:
Dobrze.	Przyśnięć ci się czasem?
Hrabina:	Petra:
Sny macie spokojne?	Nie.
Gaspar:	Hrabina:
Tak, a chora?	Jak mało mię kochasz!...

W scenie 7 aktu I Andrzej przysuwa się do Izabeli, chwalcąc kwiat przyspiłony u gorsu:

Andrzej:	Hrabina:
Jaki piękny kwiat!	Nie, bo musiałbyś pan stracić.
Hrabina:	Andrzej:
Rzeczywiście,	Kwiat, co spoczął na tem łonie,
Ładny hiacynt.	Wart tyle, co ogród cały!
Andrzej:	Hrabina:
Dwa duże	Gdy tak, mój panie — ja stracę.
Bukiety dają zań — pani!	

JOSE DE ECHEGARAY y EIZAGUIRRE
(1832—1916)

WIELKI GALEOTTO

Ernest bawi w domu bogatego przemysłowca Juljana, który przyjął ubogiego chłopca z obowiązku wdzięczności, winnej jego ojcu, a swemu niegdyś dobroczyńcy. Mimo że Juljan i jego młoda żona Teodora uważają go i goszczą jak brata, Ernest czuje niewłaściwość swego położenia, zwłaszcza, że złośliwy świat, który jest tu przedstawiony w osobach familji pana domu: Sewera, jego żony i syna, mieszkających o piętro wyżej, domysłami i półsłówkami wnosi pod dach Juljana brzydką marę podejrzeń i nieufności. Ernest postanawia wyjechać, a tymczasem zamieszkuje gdzie indziej; ze swej strony Juljan, w którym uczucie szlachetnej przyjaźni bierze górę, pragnie go zatrzymać i przywrócić dawny stosunek; niestety, podłożona mina wybuchu, fatalizm zaś, ten sam fatalizm, który jest złym duchem tragedji Calderona, sprowadza katastrofę. W akcie II ruch skoncentrowany zwrócić w domu Ernesta. Ma się odbyć pojedynek między nim a baronem della Rocca, który w klubie rzucił cyniczną uwagę o jego stanowisku w domu Juljana, ten zaś, uważając, że tylko mąż ma prawo upomnieć się o dobre imię żony, uprzedza Ernesta i staje z baronem do owego pojedynku, do którego sekundanci wybrali w tym samym domu, na wyższym piętrze, opuszczoną malarską pracownię. Tymczasem, na chwilę przed umówioną godziną spotkania, zjawia się w mieszkaniu Ernesta Teodora, błagająca przyjaciela — bo dotąd nie jest niczem więcej — o zaniechanie zamiaru; — żądanie nieco dziwne, boć Ernest wymierzył był baronowi policzek, więc żadna na świecie «przyjaźń» nie mogła go odwieść od dania słusznej satysfakcji. To zjawienie się Teodory jednak dowodzi głębszego niż przyjaźni uczucia, a choć do końca nie wyjawione, będzie ono już etycznym usprawiedliwieniem tego, co nastąpi — znowu iście po calderonowsku; Juljana ciężko rannego wnoszą do mieszkania Ernesta, Teodora biegnie ukryć się w alkuwie, ale rannego trzeba złożyć na pościeli; Ernest otwarciu drzwi przeszkodzić nie może, na progu zjawia się Teodora, Juljan, przekonany o jej winie, pada zemdlony.

Akt III w domu Juljana; Ernest przychodzi po raz ostatni pożegnać Teodorę, spróbować chęci usprawiedliwienia. Zacięty w gniewie brat rannego i reszta familji nie słucha go, zasypuje obelgami, równie jak Teodorę; nieszczęśliwi zbliżają ku sobie ręce, wzruszeni wspólnością strasznej doli; w tym momencie staje na progu Juljan i, przekląwszy oboje, uderza Ernesta w twarz, poczem z wysiłku siania się i kona. Sewer, brat zmarłego, wypędza Teodorę z domu i pokazuje drzwi Ernestowi, ale ten, odzyskawszy teraz odwagę, która obecnym wydaje się czelnością, woła:

Ernest:

Niech się nie zbliża nikt do tej kobiety;
Moja jest, tak chciał świat, wyrok przyjmuję.
W ramiona rzucił mi ją. Teodoro,
Chodźmy stąd; — skoro wypędzasz, słuchamy.

Sewer:

Nakoniec, nędzny!

Pepito:

Bezczelny!

Ernest:

Czem chcecie.

Ha! teraz macie słusność, ty i wszyscy.
Zachciałeś pasji? — Masz pasję, szaleństwo.
Chcesz więcej? — Dobrze! aż się sam przerażę.
A rozpowiedźcie, rozpowiedźcie! Echo
Niech się rozniesie w bohaterskim mieście.

Lecz jeśli spyta kto, gdzie jest infamis,
Gdzie bezceństwa bezecny pośrednik,
To odpowiedzcie: Tyś nim był bezwiednie,
A z tobą głupców języki!

JACINTO BENAVENTE

(ur. 1866)

ZŁA MIŁOŚĆ (LA MALQUERIDA)

Akt III. Scena 10

Acacia:

...Wprzód chciałabym mówić z tobą, matko.

Rajmunda:

Mówić ze mną? Wydajesz mi się zaniepokojona. Tak rzadko odzywasz się do mnie. Mówić o czym?

Acacia:

O tem, coście postanowili zrobić ze mną.

Rajmunda:

Podsluchiwałaś?

Acacia:

Nigdy nie miałam tego zwyczaju. Ale dziś musiałam. Zależało mi na tem, aby wiedzieć, co układałaś z tym człowiekiem. Okazuje się, że kto w tym domu jest niepotrzebny, to ja. My, w których niema winy, musimy płacić za tych, w których jest jej wiele. A to wszystko, abyś ty mogła żyć po pańsku ze swoim mężem. Jemu przebaczasz wszystko, a mnie wyrzuca się z domu nie poco innego, jak tylko, abyście wy żyli swobodniej.

Rajmunda:

Co ty mówisz? Kto mógłby cię wyrzucić z tego domu?

Acacia:

Wiesz sama, coś mówiła. Że mię wysłesz do klasztoru w Encinar, a tam zamkniesz mię może na całe życie.

Rajmunda:

Nie pojmuję, jak możesz tak mówić. Czy to nie ty powiadałaś sama, że miłoby ci było przebyć tam kilka dni między zakonnicami? I czy to nie ja nie chciałam nigdy pozwolić z obawy, żebyś nie chciała tam na zawsze pozostać? A z ciotką Eugenją, ile to razy prosiłaś, abym ci pozwoliła iść z nią? A teraz, kiedy składa się doskonale dla wszystkich, dla dobra tego domu, który jest twój i tylko twój, i kiedy zależy na tem, aby wszyscy wyszli stąd z podniesionem czołem... jakże chcesz, abym zwłóczyła z człowiekiem, którego ty powinnabyś uważać za ojca?

Acacia:

Chcesz powiedzieć, jak Juljana, że to ja byłam wszystkiemu winna?

Rajmunda:

Nie mówię nic. Tyle wiem, że on nigdy nie mógł uważać cię za córkę, bo nigdy dla niego córką nie byłaś.

Acacia:

Czy to ja narzucałam mu się na oczy? Czy to ja kazałam zabić Faustyna?

Rajmunda:

Milcz, dziewczyno, milcz. Gdyby cię stamtąd słyszano!

Acacia:

Nie dopniesz swego. Jeżeli chcesz uratować tego człowieka i zamilczeć o wszystkim, co się tu działo, to ja opowiem sądowi i wszystkim. Ja dbam tylko o swój honor. Nie o czyj, co go niema i nigdy nie miał, bo jest zbrodniarzem.

Rajmunda:

Milcz, milcz, córko! Mróz po mnie przechodzi, słuchając, jak ty go nienawidzisz, gdy ja mu prawie przebaczyłam.

Acacia:

Tak, nienawidzę go, nienawidziłam go zawsze, a on o tem wie. A jeżeli nie żyje sobie, żebym go wydała, niechby mię zabił. Tak, niech mię zabije, żeby się przekonąć, czy na jedną chwilę przestaniesz go kochać!

Rajmunda:

Milcz, córko, milcz!

Scena 11

Rajmunda:

Stefanie!

Stefan:

Ma rację, ma rację. Nie ona wyjdzie z tego domu. Ale nie chcę, aby to ona wydała mię sądowi. Wydam się sam. Nie baczcie! Ale nim tu wejdzie, wyjdę im na przeciw. Puść mię, Rajmundo. Zostaje ci córka. Wiem, że tybyś mi przebaczyła. Ona nienawidziła mię zawsze. Rajmundo!

Rajmunda:

Nie, Stefanie mojej duszy!

Stefan:

Puść mię, puść mię, bo zawołam ojca Norbertowego i wyznam wszystko tu, na tem miejscu.

Rajmunda:

Córko, córko, widzisz. To dla ciebie. Stefan! Stefan!

Acacia:

Nie pozwól mu odchodzić, matko.

Rajmunda:

Ach!

Stefan:

Chcesz wydać mię sama? Czemu mię tak nienawidziłaś? Czemu nigdy nie słyzałem od ciebie: Ojczel! Gdybyś wiedziała, jak kochałem cię zawsze.

Acacia:

Matko! Matko!

Stefan:

«Krzywoluba» byłaś wbrew mojej woli. Ale przedtem, jak ja cię kochałem!

Rajmunda:

Czy nie nazwiesz go nigdy ojcem, córko?

Stefan:

Ona nigdy mi nie przebaczy.

Rajmunda:

Tak, córko, uściskaj go. Niech usłyszy, że mu mówisz: ojczel! Nawet umarli przebaczą nam i będą radować się z nami.

Stefan:

Córko!

Acacia:
Stefanie! Boże mój, Stefanie!

Stefan:
Ach!

Rajmunda:

I teraz jeszcze nie powiesz mi: ojciec? Co? Czy zmysły straciłam. Usta przy ustach i ten uścisk! Idź precz! Teraz widzę, dlaczego nie chciałaś nigdy nazywać go ojcem. Jezul! Rajmundo! Córkol!

Rudy:
Co zrobiłeś? Co zrobiłeś?

Jeden z tłumu:
Zabijcie go.

Stefan:
Możecie zabić; nie bronię się.

Barnaba:
Nie, wydać go żywcem.

Juljana:
Ten zły człowiek to zrobił, ten zły człowiek. Zabił ją. Rajmundo, nie słyszysz?

Rajmunda:
Słyszę, Juljano. Nie chciałabym umrzeć bez spowiedzi. A czuję, że konam. Tyle krwi... Nie szkodzi. To przecież dla mojej córki...

Juljana:
Acacio, gdzie jesteś?

Acacia:
Matko, matko!

Rajmunda:
Mniej boli, skoro wiem, że to nie za nim płakałaś.

Stefan:
Z tobą; zawsze razem. Aż do piekła. Jeżeli mam być potępiony za to, zem cię kochał. Pójdziemy oboje. Niech nas ścigają po tych wybojach. Kochać i posiadać; będziemy jak zwierzęta, nieuznające ojców ni braci.

Rajmunda:
Tutaj, tutaj. Tu jest morderca! Chwytajcie mordercę. *(Zbiegają się ludzie.)*

Stefan:
Odstąpcie, nie będę zważał na nic.

Rajmunda:
Nie wyjdiesz. Chwytajcie zabójcę.

Stefan:
Odstąp, powiadam.

Rajmunda:
Naprzód mię zabij.

Stefan:
Więc dobrze. *(Strzela z rusznicy i rani Rajmundę.)*

Rajmunda:
Ach!

Juljana:
Teraz widzę, że to ty byłaś winna wszystkiemu, przekłębno!

Acacia:

Tak, tak, zabij mię. To prawda, to prawda. Był jedynym, którego kochałam.

Stefan:

Ach!

Rajmunda:

Co mówi, co mówi? Zabiję cię, przekłeta.

Stefan:

Nie zbliżaj się.

Rajmunda:

Zabronisz mi?

Stefan:

Nie zbliżaj się, mówię.

Rajmunda:

To tak; odstoniliście się. Nie na mnie samej będzie ciążyć krew. Niech tu przyjdą wszyscy. Niech się zbiegną wszyscy. Chwytajcie zabójcę. I tę złą kobietę, która nie jest moją córką.

Acacia (do Stefana):

Uciekaj, uciekaj.

Rajmunda:

Ten człowiek już nic nie zdoła przeciw tobie. Jesteś ocalona. Błogosławiona krew, co zbawia, jak krew Pana naszego.

(*Jacinto Benavente, La Malquerida, 4 wyd., Madrid 1924. Dramat przedstawiony po raz pierwszy w teatrze «Princesa» 1913.*)

SALVADOR RUEDA

(ur. 1857)

MOTYL (Z PIEŚNI WINOBRANIA)

Leć i leć, polatuj,
Motylu szalony,
Ssij słodczy z każdej
Kwiatowej korony.

Po zatoce złota
W powietrze rozgrzane
Wpisuj swe wykresy
Nieskontrolowane.

Skrzydła twoje, ręce
Okrętowe śmigła,
Fale róż i lilij
Krają bez fatygi.

Kurzawa kolorów —
Twych szat przyodziewa;
Słońce je swą nicią
Jak taśmą przyszywa.

Leć i leć, polatuj,
Motylu szalony,
Wypijaj słodczy
Łąki ukwieczonej.

(*Salvador Rueda, Poesias escogidas, Madrid 1912.*)

TRENY CYGAŃSKIE

Powierza gitarze
Ból swój cygan młody;
Smętne «soleary»
Wielkanocnej środy.

Strun nieukojonych
Gorzka skarga jęczy,
Skarga bez pociechy, stracił jej uśmiechy,
I żal go zamęczy.

Placz w serdecznym wstrząsie
Rozszlochane dźwięki,
Jak z piersi ranionej, skąd naprzemian
Krzyk i bólu jęki. [rwą się:

Są te soleary
Nieszczęścia lamentem
Duszy, co wydziera z głębin swej udreki
Istność swą ze szczętem...

Te jego szluchy, to jest rytm cygański
Człeka, co schodził wszystkich ziem granice,
Ras i narodów i wie, że dla jego
Rasy nigdzie się nie wznoszą dzwonnice.

Idą, idą bezustanku,
Niosąc na grzbiecie dzieci,
Kłab istot dziwaczny.
Z kędziory skoltunionemi,
Na rękach guzy szerniałe,
Biodra, jak zdjęte z zawiasów,
Oczy głębokie zuchwale,
Ciemny profil nazareński,
Skapany w przedziwnej urodzie.

Idą, idą, idą,
Krzyżując swe kroki
Pod kokosami włochatemi Wschodu,
Pod konarami prabiblijnych cedrów,
Pod arkadami omrożonych sosen,
Pod triumfalnem sklepieniem platanów.

Śłuchaj, jak śpiewa
Głos szlochający
Swoje lamenty,
Swe «miserere»:
Nie mam na dłoń ziemi,
By mi użyczyła
Śmiertelnej pościeli...

(*Tamże, str. 181—2.*)

RUBÉN DARÍO

(1867—1916)

ŁABĘDZIE

Czego chcesz się dowiedzieć, piękny biały ptaku?
Szyję naprzód wygiąłeś jak dziwne pytanie
Ku milczącym wędrowcom na miesięcznym szlaku,
Kwiatów uwłaszczycielu, jeziora tyranie.

Dziś tutaj cię pozdrawiam słowy łacińskimi;
Garcilasa widziałeś może niegdyś wcześniej.
Jestem syn Ameryki, wnuk hiszpańskiej ziemi,
Sam Quevedo w Aranjuez mógł ci nucić pieśni.

Łabędzie, waszych skrzydeł chłodzone wachlarze
Kładą się nam na skroniach przezczystą pieszczotą,
W swej pozie malowniczej śnieżyci żeglarze
Spędzacie z mózgów naszych smętki, co je gniotą.

Otulamy się mgłami północnych ostudzeń,
Powiędły palmy nasze, róże opadają;
Skarlałym mózgom naszym zabrakło już złudzeń,
I staliśmy się własnych dusz żebraczą zgrają.

Wróżą nam nową wojnę z krwawych orłów stadem,
Lecz nie wrócą sokoły siadać nam na pięści,
Ani kosy zabłysną prastarym wypadem,
Cydem, Alfonssem, Jaimem los nas nie uszczęści.

Nam, cośmy się musieli wyrzec wielkich czynów,
Cóż zostało, jak błądzić nad jeziorem ciemnym;
W braku laurów omdlewać od woni jaśminów,
Zamiast zwycięstw ludzić się pochlebstwem nikiemnem.

Hiszpanja ta nam bliska i tamta daleka
Przebywa tu na wschodzie swą fatalną kolej,
Chcesz wiedzieć, pytaj Sfinksa, co pytania czeka,
Jaka nam będzie przyszłość i koniec niedoli.

Czy padniem wszyscy w szpony północnego zwierza?
Tyle milionów ludzi ma mówić belkotem?
Niemasz to już szlachcica, niemasz to rycerza?
Będziemy milczeć dzisiaj, aby płakać potem?

Oto krzyk mojej piersi! Wy, wierne łabędzie,
Wiekowych rozczarowań naszych świadki bratnie!
Gonią po prerji żrebce w szalonym oblędzie,
I lwa konającego drżą ryki ostatnie.

A Czarny Łabędź mówił: Noc nie jest bez końca;
Tuż Biały: Zorza wróży, że wnet rozednieje,
Będzie rano; kraju mój harmonji i słońca,
Puszka Pandory na dnie ukryła Nadzieję.

(*Rubén Darío, Antologia poetica, Los Cisnes, Madrid, Renacimiento s. d.*)

BIALA KARTA

Oczy zwróciłem w godzinę rozmarzeń
Na białą kartę.

Przede mną snuł się pochód mar i cieniów;
Stąpały kobiety z twarzami posągów,
Z twarzami lśniącymi bielą alabastru,
Smutne, słodkie, łagodne i blade,
Niby wizyjne, dziwne poematy,
Poematy z łez i pocałunków;
Historje, których okrutne momenty
Odrazu męski ośnieżają włos.

Jakież płyty bieli los kładł mi na skroniach,
Jakie wczesne zmarszczki żłobił mi na licu,
I jakże chcecie, by stąpały lekko
Zmęczone wielbłądy długiej karawany?

Zmęczone wielbłądy,
Figury wycięte z jakiejś panoramy,
Jak gdyby to była pustynia ze szronu,
Stąpają po karcie białej.

Jeden dźwiga brzemię
Cierpień i lęków prastarych,
Lęków ludzi, cierpień całej rasy,

Cierpień i lęków, z jakimi Chrystusy
Schodzą na padół tragiczny.

Drugi dźwiga
Na swym grzbiecie
Szkatuły pereł, wonności i złota,
A kroczą w orszaku Saby.

Inny znów
Dźwiga trumnę,
W której spoczywa, zmarła boleściwie
Jak martwa lilja, nieszczęsna Otucha.
Pojeżdża na dromaderze
Pani blada,
Przybrana w ciemną szatę,
Królowa niezwalczona, niepogwałcona, piękna
Śmierć.

A człowiek, co go ciężkie wizje obsiadły
I co w gwiazdach niebieskich ogląda
Dziwy i tumany, znaki przerażenia,
Wpatruje się w dromadera, karawany
Przodownika, który światło wiedzie
Na szerokie pustkowie
Białej karty.

(*Tamże, Antologia poetica, Carta blanca.*)

ANTONIO MACHADO

(ur. 1875)

SOLEDAD

Lubię wysłuchiwać
Prastare kadencje,
Co je nucą dzieci,
Wodząc się za ręce.
Wyśpiewują chórem
— Rozmarzone dusze —

Rzekłbyś, zdroj się toczy
W kamiennej pielusze.
W ciągłej monotonji,
Z nieustannym śmiechem,
Co nie jest radością,
Lecz lkań dawnych echem;

Co nie jest goryczą,
Ale głosi smęty,
Żałości miłosne
Prastarej legendy.

Z drobnych ust dziecięcych
Melodja wyrasta:
Sens jej powikłany,
Lecz tęskność wyraźna,
O starych miłościach —
A jest ich niemiara!

Tak igrając w cieniu
Na placyku starym,
Śpiewają piosenki,

Jak w skalnej pielusze
Toczą się kryształem
Wieczystej legendy.

Wyśpiewują dzieci
Swe naiwne pieśni
O czymś, co przechodzi,
Ale podejść nie śmie.
Sens jest powikłany,
Lecz tęskność wyraźna.

Szeptala krynica
Swój odwieczny morał:
Powieść się skończyła,
Ale smutek został.

(*Ant. Machado, Poesias completas, Soledad nr. 8, Madrid 1917.*)

STROFA

Swój rytm dziś ma życie:
Struga, co się toczy
Drżąca i zalękła,
Chyla się i wznosi.

Życie obecne płynie rytmem rzeki,
Gdy śmiechem się ozowie,
Pluskając skrós żonkilów,
Gnąc zielone sitowie.

Majowe sny wiatr rozwiewa łagodny,
Nowe gałązki sok młodzieńczy rozsadza;
Drżą skrzydła i konary,
Orlego wzroku strzała
Leci niehamowana; pole we snach dygoce
I wibruje jak harfa.

Pierzchliwa złudo mych oczu zaborczych,
Która po boru chadzasz

W porze zenitu, drży jeszcze w mem łonie
Grot twojego kołczana.

Na wargach twoich rozkwita uciecha;
Uszczknętem kwieciem strój powiewny trefi
Woń najpierwszych pierwiosnków,
Fiołek zapachem przesycą jej trepki.

Wślad kroków twoich bieżałem po lesie,
Porwany pędem niedościgłej łani,
Za zwinnym skokiem różowych muszkułów
Wysmukłych nówek wśród zielonej włości.

Pierzchliwa złudo mych żrenic zaborczych,
Która po boru chadzasz,
Gdy rozweseli się świat i gdy śmiechem
W sitowiu fala gada,
Drży jeszcze w łonie mojem
Złoto twego kołczana.

(*Tenże, Canciones y coplas, nr. 42.*)

DO POMARAŃCZY I CYTRYNY W PODWÓRKU

O, pomarańczo, żal mi twojej dolil
Zmarzły o słońce liść się upomina.
O, pomarańczo, twój smutek mię boli
I twych owoców zmarszczona łupina.

Cytryno, drzewko strojne w żółtą pychę,
Od białych wosków dziś wyglądasz bładziej,
Jak mi twój widok ciąży, drzewko liche,
Na wychowaniu w tej pękatej kadzi.

Z dziedzin, gdzie słońce Andaluzji świeci,
Kto was przesadził do kastylskiej ziemi,
Co dzisiaj siecze wiatrami ostremi
Te kraju mego ukochane dzieci?

Drzewo cytryny, naszych sadów chwało,
Co tam rozjaśniasz ozłoconem czołem
Cyprysów smukłą i znieruchomiałą
Grupę, chóralnem ustawioną kołem.

Ty, pomarańczo, mej lubej zagrody
Snów upragnionych wizja ciebie goni;
Tej ziemi zawsze płodnej, zawsze młodej,
Brzemiennej skarbem owoców i woni.

(*Tenże, Humorismos, nr. 53.*)

VICENTE BLASCO IBÁÑEZ

(1867—1928)

NASZE MORZE

Statek kapitana Ferraguta został na morzu Śródziemnym storpedowany przez nieprzyjacielską łódź podwodną, która się tam dostała z jego własnej winy. Załoga i pasażerowie ratowali się, skacząc w wodę.

...Ferragut nie chciał naśladować pływaków; ziemia znajdowała się zbyt daleko dla ramion ludzkich; niepodobna było do niej dopłynąć. Z okrętu nie zachowała się ani jedna łódź na fali; jedyna nadzieja daleka i chimeryczna była, że jakiś statek odkryje rozbitków i uratuje.

To złudzenie poniekąd urzeczywistniło się. Na grzbiecie dalekiego batwanu obaczył statek czarny, szeroki i niski na burtach, bez kominów i masztów, pływający powoli między szczątkami katastrofy. Rozpoznał łódź podwodną. Ciemne sylwety ludzkie odrzynały się od jego grzbietu. Zdawało mu się, że słyszy głos: — Ferragut, gdzie jest kapitan Ferragut? — A, nie! Lepsza śmierć! — I utrzymywał się siedząco na drewnie, chyłąc głowę, jak topiciec.

Z nadejściem nocy usłyszał znowu głosy, wołające o ratunek; załękle głosy śmierci; owi wybawcy jego jedynie szukali, nie dbając o innych.

Stracił poczucie czasu. Chłód śmiertelny paraliżował mu członki. Palce, szponiasto zakrzywione, odrywały się od drewna, a on czepiał się go ostatnimi wysiłkami woli...

Trwał w swym uporze, walcząc z omdleniem, co go kusilo wypuścić zbawczą podporę, iść na dno, zasnąć, zasnąć na wieki. Trzewiki i spodnie ciągnęły go coraz to większym ciężarem. Były jakby całunem, co się rozdymało, napęczniały wodą. Rozpacz kazała mu obrócić oczy ku górze, pojrzeć na gwiazdy. Tak wysoko! Gdyby można ucześcić się jednej, jak tego drewna!...

Ocknął się równocześnie z jakimś instynktownym uczuciem obrzydzenia. Głowa nurzała się w wodzie, gorzki płyn jął wlewać się weń przez usta.

Bolesnym wysiłkiem starał się trzymać w pozycji pionowej i spojrzeć znów ku gwiazdom. Niebo przestało już być ciemnym fioletem; było barwy czarnej, a wszystkie gwiazdy czerwone, niby krople krwi.

Nagle uzyskał pewność, że nie był sam, i spuścił oczy. Tak, ktoś był przy nim...
Kobieta!

Kobieta biała jak obłok, biała jak chusta, biała jak piana. Włos zielony przystroiła w perły i fosforyczne korale; uśmiechem wyniosłym, królewskim, boskim dopełniał się majestat jej diadem.

Otoczyła go ramiony, przyciskając do piersi żywicielskich a zawsze dziewiczych, do perłowego łona...

Atmosfera zgęśla, zielonawa odbijała od jej bieli, jak światło w głębinie morskiej. Białe usta przylgnęły do ust tonącego pocałunkiem władczym. A woda tych ust, tocząc się przez zęby, przelewała się w jego usta potopem słonym, niewyczerpanym. Czuł, że przepelnia się jego wnętrze, jakgdyby wszystko życie białej zjawy roztopiało się, przechodząc w jego ciało pod nakazem pocałunku.

Nie był już zdolny patrzeć, ni mówić; oczy przymykały się, aby nie utworzyć więcej, rzeka gorzkiej soli płynęła gardłem.

Mimo to poglądał na kobietę, coraz mocniej doń przywarta, światlejszą, z wyrazem smutnym ukochania w modrych oczach. Tak zstępował i zstępował w nieskończone pokłady otchłani, bez czucia, bez woli; głos tylko jakiś szumiął mu pod czaszką, i zdało mu się, że go rozumie:

— Amfitryte, Amfitryte! —

(Vicente Blasco Ibañez, *Mare nostrum*, Valencia s. d.)

MIGUEL DE UNAMUNO

(ur. 1864)

ŻYWOT DON KISZOTA I SANCZA

Zakończył pisanie ostatniej woli Alonso Kiszano (Don Kichote), przyjął Sakramenty, wyrzekł się ksiąg wędrownego rycerstwa. Śród żalów i płaczu obecnych oddał ostatnie technienie — chcę rzec, umarł — dodaje historyk. «Oddał technienie»? Komuż to je oddał? I gdzie jest dzisiaj? Gdzie śni, gdzie przebywa? Gdzie jest ta otchłań zdrowego rozsądku, dokąd idą odpocząć dusze wyleczone ze snu życia, z obłądu wiecznotrwałości? O, Boże mój! Ty, który dałeś życie i ducha Don Kiszotowi w dziejach i duchu jego ludu. Ty, który natchnąłeś Cervantesa epopeją nawskróś chrześcijańską, Ty, Boże mego marzenia! Gdzie to ugaszczasz dusze nasze, co przebywamy sen żywota, dotknięci obłądem wiecznotrwania dla wielkich przyszłych wieków? Dałeś nam żądę rozgłosu i sławy, jako odbicie twej glorii. Minie świat, czy miniemy z nim, Boże mój?

«Życie jest snem». Czy nie jest równie snem, Boże mój, ten wszechświat, którego Ty jesteś świadomością wieczną i bezkresną? Byłoby on Twoim snem, a my widzeniami tego snu? Gdyby zaś tak być miało, co się stanie z wszechświatem i z nami, i ze mną, gdy, Boże mego życia, zbudzisz się? Śnij o nas, Panie! — — — — —

— Pozostaw Sanczowi jego sen, jego wiarę; niechaj wierzy w wiecznotrwałość swego bytu, niech marzy, że jest pasterzem, tam na niezmiernych połoninach Twego łona, śpiewa o swym bycie niezniszczalnym, jakim jesteś Ty; zachowaj mu tę wiarę, Boże mej Hiszpanji. Zważ, Panie, że w dniu, kiedy sługa Twój Sanczo uleczy się z obłądu, umrze, a z nim umrze jego Hiszpanja, Twoja Hiszpanja.

Panie! Ugruntowałaś ten swój lud, lud Twoich sług: Don Kiszota i Sancza w wierze o nieśmiertelności indywidualnej; patrz, Panie, to jest racja naszego bytu i przeznaczeń pośród ludów czynu, aby ta nasza prawda wewnętrzna rozjaśniała umysły wbrew mrokom logiki i rozumu i pouczała serce, skazane na sen żywota:

«I tak życie nas zabija,
Śmierć nas przywraca do życia».

— Czy sądzicie, że Don Kiszot nie zmartwychwstanie? Są, którzy utrzymują, że nie umarł Cervantes, co ogłosił go umarłym. Są, którzy mniemają, że zmartwychwstał dnia trzeciego i że wróci na ziemię w ciele nieśmiertelnem, i objawi się czynem.

A wróci, kiedy Sanczo, znękany dziś wspomnieniami, poczuje, że wre w nim krew, stłoczona wśród wędrowek w roli giermka; że wsiądzie, jak był zapowiedział, na Rosynanta, zakuty w zbroję pana; że chwyci w pięść włócznię, by spełniać nadal dzieło don Kiszota. Zaś pan przyjdzie również i wcieli się w niego. Śmiało, bohaterski Sanczo, niech ożyje wiara, jaką zapalił w tobie twój pan i którą podsycałeś i utrwalałeś z takim mozolem.

Niech też nie uchodzi za cud to, co działał po śmierci, podobnie jak opowiadają o Cydzie, że wygrał bitwę, będąc już trupem. A opowiadają nadto, że kiedy leżał martwy, a pewien żydowin chciał go pociągnąć za brodę, co jej nikt nie tknął za życia, to, zanim sięgnął do brody, dzielny Cyd ujął swą szpadę hartowną i do pół wydobyl ją z pochwy.

A żył, kiedy to ujrzał, takim był zdjęty strachem, że runął martwy na ziemię, jakby gromem rażony...

Czy Cyd wygrał bitwę po śmierci — nie wiem, ale to wiem, że dziś wielu żydów śmie go targać za brodę. Niewiadomo też, czy don Kiszot czynił cuda po śmierci, ale czyż niedość tych, jakie czynił za życia? I czy nie były cudami nieustannemi jego przygody? — — — — —

Trzeba wierzyć, że historyk arabski Cide Hamete Benengeli¹ nie jest prostym wybiegiem literackim, ale że kryje w sobie głęboką prawdę, a mianowicie, że ową historję podyktował Cervantesowi ktoś inny, mieszkający w jego sercu, ktoś ani

¹ Postać fikcyjna, podawana przez Cervantesa, jako właściwy autor «Don Kiszota».

przedtem, ani po napisaniu książki już niewspomniany: duch, mieszkający w głębi jego jestestwa. — — —

— Podejrzewam nawet, że kiedy ja sam komentowałem i objaśniałem ów żywot, to potajemnie odwiedzali mię Don Kiszot i Sancho i poza moją świadomością otwierali mi zakamarki swych serc. A dodam tutaj, że niejednokrotnie uważamy pisarza za istotę realną i historyczną, przeto, że ją oglądamy w ciele i kościach, a zaś ich utwory za czystą jeno fikcję, gdy tymczasem rzecz się ma przeciwnie, t. j. że owe utwory są właśnie rzeczywiste i że posługują się owymi, rzekomo z ciała i kości, aby je uprzystępnąć ludziom. Skoro przebudzimy się wszyscy ze snu żywota, obaczymy rzeczy pod tym względem dziwne, a mędrej przerażą się, gdy rozpoznają, co jest prawda, a co kłamstwo, i jak dalece byliśmy w błędzie, mniemając, że owa zagadka, zwana logiką, nie posiada znaczenia poza nędznym światem, w jakim więżą nas przestrzeń i czas, despoci ducha...

(*Miguel de Unamuno, Vida de Don Quijote i Sancho, 3 wyd. Madrid 1928.*)

LITERATURA KATALOŃSKA

JACINTO VERDAGUER

(1845—1902)

ATLANTYDA

Młody rozbitek genueński wydostaje się na brzeg Luzytanji i znajduje schronienie w chacie starego pustelnika. Pustelnik opowiada mu mityczno-fantastyczne dzieje zatopienia Atlantydy na tle czynów Herkulesa w Hiszpanji, a głównie walk i zabiegów tego bohatera dla otrzymania ręki Hesperjdy, żony zmarłego Atlasa. Rozbitek — a jest nim Kolumb — natchniony tem opowiadaniem, puszcza się na morze i odkrywa Amerykę, stanowiącą dalszy ciąg zatopionej Atlantydy. Z poematu tego (w 10 pieśniach) przytaczamy dwa wyjątki. Pierwszy wyjęty jest z opisu kraju Atlantydy.

Olbrzymi jeleni rogów potrząsa rosochą,
Którą, jak wielkie drzewo, gwar oblata płaszy;
Dziki mastodont goni za gazelą płochą,
A korpulentny mamut mastodonta straszy.

Ku ogrodowi idzie¹ w głąb przez wonne gaje;
Lew czai się, a bawół przed nim mknie z kopyta;
Już nad jego ramiony trzecie słońce wstaje —
Oczom nagle oaza zieleni zaświta.

Kroczy przez koronkowe mirtowe aleje,
Wiatr mu sycony miodem powonienie pieści;
Niebo płonące, zda się, klejnotami sieje,
Każda gałąź, zdrój każdy łagodnie szeleści.

Rzędami smukłe cedry, ciemne cynamony,
Których gałęziom słodko świeże ciężą kwiaty;
Pary drzew w długi portyk spłotły się ramiony,
Zorza mruga różowa przez zielone kraty.

Tysiąc kaskad roztrąca rzeki nurt pienisty
O kryształowe groty, o schody z porfiru;
Białe nimfy, zniesione prądem, powłóczyły
Swój warkocz rozpuszczają na koliska wiru.

¹ Herkules, poszukujący Hesperji.

Po zieleni wybrzeża deszczem perel siecze
 Rozbawiony rajski ptak; w gęstwinie zacisznej
 Tęskna turkawka jęki zawodzi człowiecze,
 Gil wesoly tryluje i gwizdże kos pyszny.

W drugim ustępie wyspa Delos opowiada swoje powstanie:

Oстрым trójzębem wyrwał mię bóg morza
 Z pięknej Sycyli rozdartego biodra;
 Wokół mnie toń modra,
 Ja wśród lazurów niby gwiazda hoża.
 Patrząc, zalotne mewy,
 Na śnieżnej fali sprawiając gonitwy,
 Za swoją siostrę bielutką mię brały;
 A zaś morskie rybitwy
 Za lotusu kwiat biały,
 Co między krwawe koralowe trzony
 Swoje dziewicze rozchylił osłony.
 Achelous, taką na rąbku Etolji
 Widząc mię w świtu różowej koronie,
 Zdaleka brał mię za kielich magnolji,
 Rankiem mu w darze śląc świeże wonie.
 Wyspa, co mię dostrzegła
 Najpierwsza, wzięła za galję zwinną,
 Co z ładunkiem pachnideł
 Pełnym lotem swych skrzydeł
 Od Epidauru ku Dorydzie biegła.
 A zewsząd ku mnie biły muzyk tony:
 U moich brzegów Najady, Trytony,
 Pryskając, rwały srebra wstęgę płynną.

(*Mossen Jaemto Verdaguer, Atlantida, Barcelona 1886.*)

ANGEL GUIMERA

(1849—1924)

MORZE I NIEBO

Maur Said, w guście korsarza Konrada, palający do chrześcijan nienawiścią za wymordowanie jego rodziny, rozbija, jako wódz piratów, chrześcijańską galerę i bierze w niewolę starego Kastylczyka, syna jego i córkę Blankę. Pomysł to niezwykle umieszczenia dwojga syconych fanatyzmem nienawiści tuż obok siebie na szerokim spokojnym morzu, a stopniowe przesilanie się tej nienawiści na miłość odtworzone po mistrzowsku. Pewnej nocy Blanka wchodzi do celi Saida ze sztyletem w rękę; podnosi broń... korsarz chwytą ją za ramię — i przebacza. Teraz w niej budzi się naprzód gniew obrażonej dumy za darowanie jej życia, potem litość dla cierpiącego, potem uwielbienie dla wielkiej męskiej duszy. W III akcie następuje śliczna scena miłosnych wyznań, w chwili, gdy okręt wpadł w ręce chrześcijan i Saidowi grozi śmierć.

Blanka:

To oni!

Said:

Nie jeszcze... — To nie śmierć jeszcze.

Blanka:

Śmierć... ha! niech się zbliży!

— Pójdź, niech na ciebie patrzę; już mię blask ten
 Oczu nie straszy. Ktoś ty?... Niechaj spojrzę
 Przez oczy twoje aż w duszę. Mów, ktoś ty?
 Gdzie cię widziałam, gdzieś tak patrzył na mnie?
 Przed urodzeniem może, w tamtym świecie

Tak przemawiałeś do mnie pieszczotliwie.
 Nie, nie kryj oczu, niech się im napatrzę
 Za wszelkć przeszly czas. Ja nieznający
 Jużem tęskniła; ty w snach moich żyłeś
 Śród pustej celi, a ja nie wiedziałam,
 Jak wyglądałeś! — Ot tak, jak w tej chwili.
 Ja nie chcę, abyś umierał; z twem życiem
 Już moje spięte. Cóż, że nas obwiną
 Miał kwiatów węże — jeżeli nas złączą?

S a i d:

— Przyszedł tak późno; samotny tę drogę
 Życia przebyłem i oto u kresu
 Ciebie spotykam: u kresu — nad grobem.

B l a n k a:

— Nie, nie, Saidzie! Nie, nie, to nie pora
 Umierać!... Boże mój, ja czuję życie,
 Rosnące we mnie. Chcę żyć! Ocalenia!

S a i d:

Na gniew Allacha! Niech wrócą — tu czekam.
 Ja im rozedrę pierś, ja im wnętrzości
 O mur rozbryzgam. Tygrysyl... I z sercem
 Tak pełnem jadu, ha! — oni się modlą!
 — Gardzę pokorą, krew mię w gardle dusi,
 Ja chcę umierać, mordując!...

B l a n k a:

Saidzie!

S a i d:

Już... jam twój sługa... pokorny, jak gołąb...
 Chcesz, bym całował twego ojca nogi,
 Chcesz, bym całował stopy jego ślady?

B l a n k a:

Tak... ja chcę, ja chcę... Ocal go, mój Boże!

S a i d:

Wszystko daremne. Tyś niebo, jam morze,
 Lecz tam się schodzą, patrzaj, tam się schodzą.
 Na horyzoncie!...

(Siepacze chcą zawlec Saida; on porywa Blankę z okrzykiem):

«Jest moja na wieki!» i rzuca się z nią w głębinę.

Byłaby rzecz godna trudu wypiększyć naszą scenę sztuką tak wysoce poetyczną, ale potrzebaby chyba sprowadzić do niej stamład aktorów, gdyż tylko Hiszpan potrafi odtworzyć lwie wybuchy takiego Saida.

Z «LIRYK»

Więc cię na wieki tracę — życie moje!
 — Przepaść u naszych stóp.
 A jednak duszę ból porywa... roję,
 Po skrę nadziei sięgam — aż za grób.

Sam cię powiodłem do kościoła progu,
Widziałem w blasku świec;
Rzekłem: Polecam twoje szczęście Bogu!
— Serce zalkało, lecz nie rzekło nic.

Przyczołgałem się pod twe białe ściany,
W zamknięte patrząc drzwi;
A co ty robisz i co twój kochany,
Światło od okna powiadało mi.

Wszystko wydało bratnie światło one:
Twoje ostatnie tak
I to, że jutro oczy mieć czerwone
Będziesz, a dla mnie nosić świętej znak...

— Jednak cię kocham i dałbym niemało:
Oddałbym błogi skon,
By wiedzieć, kiedy to światło się zwiąło,
Czyś je zgasiła ty sama, czy on?

Wybór, układ i tłumaczenie Edwarda Porębowicza.